

# TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 48.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 13/25 sierpnia 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie rsr. 3. — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

## TREŚĆ NUMERU.

Józef Lompa (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Wspomnienia z wycieczek po Galicji, Bukowinie i Moldo-Wołoszczyźnie (z pięciu drzeworytami) dalszy ciąg. — Nasze kwiaty (śpiew), słowa Justyna W., muzyka St. Moniuszki. — Szachy i rebus. — Pan Jacek Brzuchanski, opowiadanie więrszem, Józefa Szujskiego. — Nowa znajomość, poezya. — Korrespondencye od redakcyi. Doniesienia.

## Józef Lompa.

Od lat kilkunastu imię Józefa Lompy dostąpiło u nas pewnego rozgłosu; a rozgłos to zasłużony, jeśli zważymy że cichéj pracy i poświęceniu tego nauczyciela ludu górno-szląskiego zawdzięczamy w części, iż lud ów zachował dotąd język i zwyczaje ojców. Łatwiej to większym szczepom słowiańskim, jak Czesi, Słowacy, Serbowie, mającym własną literaturę, własne dziennikarstwo; lecz mały zastęp na Szląsku, odgraniczony ściśle językiem na zachód, a politycznie na wschód, oddawna byłby zapomniany swego rodzinnego języka, gdyby nie usiłowania kilku ludzi, jakeimi byli lub są dla Szląska pruskiego: ks. kanonik Ficek, ks. Stabik, ks. Szafranek, właściciel dóbr Koszutski i nauczyciel parafialny Lompa; dla Szląska austriackiego: doktor Klucki, Stalmach redaktor Gwiazdki Cieszyńskiej i Cienciąła.

Wiadomo że z prowincyj składających dawną Polskę, Szląsk odpadł od niej najwcześniej, bo już w połowie 12 wieku dostał się Władysławowi, synowi Bolesława Krzywoustego, jako część udzielną. Lat dwieście nie upłynęło, a rozdrobieni i osłabieni książęta szląscy poddali się Czechom (1327). Z królestwem czeskim przeszedł Szląsk pod panowanie cesarstwów niemieckich, aż wreszcie r. 1763 pokojem w Hubertsburgu zawartym odstąpiony został Prusom, prócz małej części stanowiącej dziś Szląsk austriacki.

Pomiędzy mężami których nazwiska podaliśmy wyżej, najczynniej może wystąpił Józef Lompa, jako nauczyciel ludu, jako pisarz pieśni pobożnych, nauk moralnych i gospodarskich, zbieracz podań i klechd, żywotów świętych, wiadomości historycznych i t. p. Treść jego życia zamknąć można w dwóch słowach: praca usilna, niezmordowana i walka nieustanna z nędzą. Ale „Lampa nie zgasła, choć skąpo oleju jej dodawano.“ (Słowa

samego Lompy. Przodkowie jego, podług metryk kościelnych, nazywali się *Lampa*. Podobno w r. 1841 upominał się on o przywrócenie dawnego swojego nazwiska, ale mu odmówiono.)

Podajemy tu niektóre szczegóły jego życia, podług notat przez samego p. Lompę nam dostarczonych.

Urodził się d. 29 czerwca 1797 r. w powiecie i mieście Oleśno (Rosenberg) w Szląsku górnym, z ojca Michała, trudniącego się kramarszczyzną, i matki Józefy Strożykównéj, z miasta Dobrodzienia (Guten-

tag). Od dzieciństwa okazywał zdolność do muzyki, w 12 roku życia śpiewał na chórze w swém mieście rodzinném, grał na organach i skrzypcach, od nikogo prawie nie będąc uczonym, a w 14 roku ojciec oddał go do reformatów w Wieluniu, gdzie pełniąc czynności organisty, miał przytém chodzić do miejscowych szkół pijarskich; lecz sprzykrzywszy sobie nieustanne namowy zakonników, pragnących skłonić go do przyjęcia habitu, wydalil się potajemnie z ich murów. Ojciec skarcił surowo ten krok samowolny, a młodzieniec, lubo niechętnie, w braku innego zajęcia, wszedł na aplikanta do sądu patrymonialnego w Oleśnie. Przez lat kilka pełnił to obowiązki rządowe protokulisty i tłumacza sądu miejskiego w Gorzowie (Landsberg), to prywatne nauczyciela i pisarza; aż wreszcie w r. 1814 postanowił ostatecznie obrać sobie zawód nauczycielski, i w tym celu wstąpił jako uczeń do seminaryum katolickiego w Wrocławiu.

Wyszędłszy ztamtąd r. 1817 z chlubnemi świadectwami, przyjął posadę nauczyciela i pisarza gminnego we wsi Łomnicy, w powiecie oleskim. Roku 1818 ożenił się z Maryą, córką nauczyciela Bensia w Sternalicach, sławnego pasiecznika, przy którym polubił pszczolnictwo. Ciągła przytém korespondencya z bratem żony, księdzem Józefem Bensiem, zbawienny wpływ wywierała na jego zdolności umysłowe. Przez kilka lat następnych żył kolejno w Lublińcu i Lubzszy (Lubschau), ofiarowane mu bowiem miejsce nauczyciela przy seminaryum pedagogiczném w Bydgoszczy minęło go, z powodu przeistoczenia tego zakładu na szkołę ewangelicką, i zyskał tylko tyle, że gotując się do objęcia posady, poduczył się w Wrocławiu teoryi muzyki.

Już wtedy imię Lompy chlubnie znaniem było w królestwie. Ksiądz Jakub Falkowski, dyrektor instytutu głuchoniemych w Warszawie, wezwał go w r. 1829 na nauczyciela szkoły ociemniałych, jaką otworzył zamyślał w Częstochowie; lecz ówczesne wypadki polityczne stanęły na przeszkodzie urzeczywistnieniu tego zamiaru. Był następnie przez czas jakiś tłumaczem przysięgłym języków polskiego, czeskiego i niemieckiego, przy regulacji granic szląsko-polskich. Roku 1837, po śmierci piérwszój żony, wszedł w powtór-



JÓZEF LOMPA.

ny związek małżeński z Weroniką, córką nauczyciela Franciszka Grzegorza w Ligocie, powiecie lublinieckim. W obu małżeństwach miał ośmnaścioro dzieci, z których dwanaścioro żyje, a troje dotychczas zostaje przy ojcu. Obecnie mieszka w miasteczku szląskim Woźnikach jako tłumacz sądowy, lecz znacznie na zdrowiu podupadły, bo w styczniu r. b. apopleksją tknięty, i zupełnie prawie pozbawiony środków utrzymania.

Prace Lompy na polu piśmiennictwa krajowego nie są zbyt rozległe, bo z konieczności krążyć musiały w niewielkim króiku wiedzy ich autora i potrzeb tej części narodu dla której były przeznaczone, lecz wybornie odpowiadają celowi i znać że nie przedsiębrał ich ani w chęci popisowania się, ani w celu spekulacyjnym. Wyliczamy z nich główniejsze. Już w r. 1823 zamierzał wydać obszerny *Kancjonał polski* z melodyjami, lecz dotąd dzieło to pozostaje w rękopisie. W r. 1823 wypracował po polsku *Opis roślin jadowitych* dla szkół elementarnych, a nie mając funduszu na wydanie, przesłał go ministerstwu oświecenia w Berlinie; ale nakład na to dziełko uznany został za zbyt drogi. Od r. 1840 ogłosił drukiem w krótkich przestankach: *Zbiór pieśni*, po większej części treści religijnej, bądź oryginalnych, bądź tłumaczonych z celniejszych poetów niemieckich, a szczególnie z Mathissona, którego to zbioru ocenę dała Biblioteka Warszawska (r. 1841, sierpień); dalej *Pielgrzymka z Lubopola*, czyli zbiór różnych nauk dla ludu górno-szląskiego; nakoniec krótką *Historią Szląska*. Roku 1849 był redaktorem wychodzącego przez czas jakiś w Bytomiu (Beuthen) Dziennika polskiego. Oprócz tego w różnych czasopismach polskich znajdują się jego rozprawki, klechdy, więrsze i t. p. W ostatnich czasach wydał *Nowe udoskonalone pszczolnictwo* (Leszno 1859, u Günthera), tłumaczone z niemieckiego, ale z dodaniem wielu własnych uwag i spostrzeżeń.

Od czasu objęcia czynności nauczycielskich, Lompa zostawał w ciągłej korespondencji z wielą uczonymi, jak: Rendschmidt nauczyciel seminarium w Wroclawiu, uczeń słynnego Pestalozzi'ego, Büsching i Purkinie professorowie w témże mieście, A. W. Maciejowski w Warszawie; J. Łepkowski w Krakowie i t. d. W uznaniu zasług położonych dla sprawy języka i piśmiennictwa ojczystego. wezwany został r. 1844 na członka Towarzystwa literackiego w Gostyniu, w w. ks. poznańskim; r. 1852 na członka Towarzystwa rolniczego w Krakowie; r. 1857 na członka Towarzystwa pomocy naukowej w Poznaniu i roku 1858 na członka-korrespondenta Towarzystwa rolniczego w królestwie polskim.

Skromne zaprawdę, lecz pocziwe i pożyteczne jest stanowisko Lompy pomiędzy współziomkami. Nie posiadając wysokiego ukształcenia naukowego, nie obdarzony nawet znakomitemi zdolnościami, umiał jednak całe swoje życie obrócić na korzyść tej garstki ludu którą ukochał i której uzacnieniu moralnemu siły swe poświęcił. Wykład jego, chociaż niewykwintny i szorstki, jasny jest, zrozumiały i zastosowany doskonale do pojęcia początkujących. Co umiał sam, tém szczerze i serdecznie dzielił się z rodakami, nie starając się bynajmniej osłaniać niedostatku własnej wiedzy pustą grą wyrazów. Więrsze jego, lubo nie nacechowane wyższym talentem poetyckim, odznaczają się jednak czystością języka, prostotą wyśłowienia i jakąś rzewną nieraz smętnością, trafiającą do serca czytelników. Jako próbę podajemy tu ustęp, skreślony przez autora szląskiego w najnowszych już czasach.

#### PIOSNKA.

Piosnko moja! brzmiżże smutnie,  
Głoś jękliwie pożegnanie  
Mojęj oniemiałej lutnie,  
Nuć żałośnie jęj skonianie!

Mnie skwar cierpień myśli spieka,  
We mnie krzepną wyższe tchnienia,  
Z błędnych warg mdły śpiew ucieka,  
Duch się chyli do zwątpienia.

Człowiek wiekiem skołatany,  
Gdy mu razem głód dokucza,  
Jakby wiatrem wiór miotany  
Rospaczliwie w kał się rzuca.

Święty stróżu mój aniele!  
Wstrzymuj mnie od tego kroku;  
Chrońcie, mili przyjaciele,  
Stańcie chętnie przy mym bokul

Kiedy oczy moje mdleją,  
Widząc już mój koniec blizki,  
Twórcu! zagrzęj mnie nadzieją,  
Osusz mi mój chodnik ślizki!

Taki jest, ujęty w krótkości, przebieg życia człowieka maluczkiego stanowiskiem, ale znakomitego pracą i poświęceniem. Lompa, rozszerzając pomiędzy ludem tanie i odpowiednie potrzebom jego książeczki, pierwszy nagiąć się umiał do pojęcia i wyobrażeń ludu szląskiego, pierwszy też nauczył nas dawnych nazwisk polskich miast, wsi, rzek, i t. p. na Szląsku. Dotychczas jeszcze nadsyła on do różnych pism krajowych ciekawe artykuły o rodzinnych swych stronach, a ostatnio w liście do nas pisany przyrzekł i Tygodnikowi Ilustrowanemu swe współpracownictwo, z którego, w miarę możliwości, będziemy się starali korzystać.

## Kronika tygodniowa.

W czasach dzisiejszych, kiedy akademie paryzka przyznała istnienie hypnotyzmu, kiedy pan Jobard zamraza ludzi na dnie, miesiące, lata, i z łona uczonego towarzystwa wyznaczoną została kommissya dla skontrolowania jego wynalazku; w tych czasach, których wysokiemu posunięciu w cywilizacji winniśmy armaty gwintowane nabijane z przodu, dla wygodniejszego zabijania ludzi; w tych czasach cóż jest niepodobnego?

Owóż bijąc czołem przed nauką medycyny, która u nas tak świetnych liczy reprezentantów, opowiem wam fakt który niedawno z wiarogodnych ust słyshałem. Proszę to przyjąć jako gawędę; *relata refero*. Być może że to co przytoczę będzie herezyą przeciwko nauce, i z góry chyłę czoło przed wszelkiem potępieniem naukowem jakie może spaść na mnie. Pomimo bowiem tego, że jak to mówią na świecie każdy jest doktorem, a przynajmniej każdy się sądzi w prawie radzenia innym w przypadkach niezdrovia, ja sam nigdy nie wdawałem się w te przywłaszczenia. Bijąc się w piersi, przyznaję że nie rozumiem nawet recept i nie umiałbym rozróżnić emetyku od assafetydy, a chinę od lukrecyi, co powiedziawszy na większy dowód mojej skromności i usprawiedliwienie niewinnych zamiarów, zaczynam.

Pewien lekarz zawezwany został w Lubelskie do zamożnego obywatela wiejskiego. Bawiąc tam przez kilka dni, dowiedział się że w domu tegoż obywatela znajduje się strzelec, który posiada niezawodne lekarstwo na wielką chorobę. Wiadomo zaś że dotąd na tę słabość medycyna nie zna pewnego środka.

Jak się łatwo domyśleć można, lekarz nasz nie wierzył ani słowa z tego co mu opowiadano o tym strzelcu. Sam gospodarz domu, upewniając go o prawdzie swojego twierdzenia, wyznał mu nareszcie, że syn jego własny podlegał kiedyś napadom tej słabości i że go ów strzelec wyleczył.

— Taka to i choroba była, odpowiedział ów lekarz. W tych rzeczach wy profani sądzić nie możecie. Często wam się zdaje że to taka słabość, a jest inna, inne jęj przyczyny i skutki. Sami się często mylimy, a cóż dopiero wy? Powtarzam, nie uwierzę, dopóki się naocznie nie przekonam o cudownych środkach tego uczonego strzelca.

Zdarzyło się że wkrótce potem lekarz nasz zawezwany został do sąsiedniego miasteczka do choręj. Zbadawszy ją, poznał symptomata wielkiej choroby. Niewiele więc myśląc, każe do siebie wezwać owego strzelca i pyta się czy się podejmie leczenia. Strzelec odpowiada potwierdzająco, prosząc tylko ażeby mu dano czas stosowny, to jest tydzień, na zebranie leków i przygotowanie ich. Po tygodniu zjawia się znowu i przynosi podzielony na porcey proszek zielonawego koloru, przepisując zarazem sposób użycia go. Po wyżyciu tego proszku, co wszystko miało miejsce w przytomności lekarza, chora ozdrowiała zupełnie.

Lekarz zachował był trochę owego proszku. Wziął go natychmiast pod rozbiór, ale odkrył tylko że się składa z materij organicznych, jakieby zaś były te materje, tego dojść nie mógł.

Nie pozostało więc jak zbadać strzelca. Ale ten oparł się wszelkim namowom, przekonywaniom, nawet ofiarom pieniężnym, twierdząc iż wie z pewno-

ścią, że gdyby odkrył swoją tajemnicę, przestałaby natychmiast skutecznie działać. Mówił że dowiedział się o niej jego ojciec od pewnego Węgra, któremu był uczynił jakąś przysługę, a on ją w spadku po ojcu otrzymał, z zaleceniem nieodkrywania jęj nikomu.

Nie pozostało więc jak wysledzić go potajemnie w czasie fabrykacji owych leków. Użyto do tego zręcznego lokaja dworskiego, który przy zdarzonej sposobności, śledząc ostrożnie strzelca, przekonał się iż ten, mając zamówione lekarstwo, wychodził po nocy ze swojej chaty, że szukał długo czegoś w polu, że nareszcie napotkał jakąś krętowinę, rozkopał ją, zabił kreta, potem pozbięrał tu i owdzie zioła i to wszystko zaniósł do siebie. Jak sobie potem postąpił z owymi ingrediencyami, o tém trudno było się dowiedzieć, bo strzelec, powróciwszy do chaty, zamknął się w niej i lokaj niczego więcj wysledzić nie mógł.

Ponieważ strzelec zmarł niedługo po tym ostatnim wypadku, tajemnica poszła z nim razem do grobu, i lekarz, kładąc to na karb dziwnych wypadków, jakie się czasem zdarzają pomiędzy ludźmi, przestał nawet o tém myśleć.

Tymczasem traf chciał, że pewnego razu do tegoż samego lekarza przyszedł jakiś pan, świeżo z zagranicy przybyły, z dziwnym interesem.

Opowiedział mu że córka jego cierpi na wielką chorobę, że słabość ta jest widać familijną, bo nieboszczka matka także jęj ulegała, ale ją wyleczył wówczas pewien Szwajcar, nawpół szarlatan, nawpół lekarz. Posiadał on dotychczas przepis tego Szwajcara, ale w żadnej aptece nie podjęto się go wykonać, twierdząc że to wierutne głupstwo. Jegomość więc ów upraszał naszego lekarza, żeby mu zacyfrował tę receptę, która w takim razie zostanie przyjętą i wykonaną w aptece.

Lekarz spojrział na receptę i zdziwił się niepomału. Przepisywała ona żeby zabić kreta, ciało jego wraz z kośćmi podanym w recepte sposobem rozgotować na galarete, potem wysuszyć, sproszkować i dać w pewnej części do zażycia. Przepis był wyraźny, jasny i drobiazgowy nawet.

Zdziwił lekarza ten niewytłumaczony zbieg okoliczności; sam więc udał się do apteki i pod jego okiem podług podanego przepisu przygotowano lekarstwo. Otrzymano z tego proszek, ale już nie zielonawy, tylko szarawy; różnica pochodziła widać z ziół jakichś, które strzelec do swojego proszku przymieszował. Lekarstwo pomogło, ale niezupełnie; napady choroby okazały się rzadsze i słabsze daleko. Był to ten sam środek którego strzelec używał, mniej jednak skuteczny, z powodu niektórych niedokładności w wykonaniu zachodzących.

A teraz powstrzymujemy się od wszelkich wywodów, które moglibyśmy z opowiadania naszego wprowadzić. Nazwisko lekarza jest nam wiadome, znamy go jako człowieka poważnego i oddanego nauce, któryby w żadnym razie nie chciał brać na lekko niczego, coby się tej nauki dotyczyć mogło. Niech oświeceński od nas rzecz tę rozstrzygną.

Parę już tygodni upływa, jak Deotyma wróciła z podróży swojej do Karpat odbytej. Mnóstwo różnolitych wrażeń zebrała ona z tej wycieczki. Jak wiadomo, podróż po Karpatach, dla kobiety zwłaszcza, podwójnie przedstawia trudności. Zwidzała ona wszystkie najpiękniejsze widoki i położenia tych gór, które, nawiasem mówiąc, czytelnicy nasi wkrótce będą mieli sposobność oglądać w Tygodniku Ilustrowanym. W podróży swojej Deotyma spotkała się z artystami naszymi: Gersonem, i Schouppem i Olszyńskim, a spotkanie to miało miejsce w górskiej karczemce, albo raczej w pustkowiu, i za nadejściem dnia dopiero ukazał się gospodarz, zdziwiony gośćmi, których nie często miał tam sposobność oglądać, zwłaszcza na nocleg. Zapytany czemu nie nocuje w swojej karczmie, odpowiedział iż przyjął ten zwyczaj od czasu jak jego poprzednika zbójcy z żoną i dziećmi zrabowali i zamordowali w tém samym miejscu. Szczęściem dopiero za dnia poetka nasza dowiedziała się o tych strasznych wspomnieniach; sądzimy bowiem że zapowiedziane wieczorem, nie nader skutecznie dopomogłyby do spokojnego przedśnienia nocy.

Wiemy o kilku malarzach naszych, którzy zamierzają ubiegać się o nagrodę wyznaczoną za najlepszy obraz bitwy pod Grunwaldem. Tymczasem inny obraz, z wyobrażeniem innego również sławnego zwycięstwa, wyszedł w tych dniach z pracowni je-

dnego z naszych artystów. Pan Pillati wymalował bitwę pod Kircholmem, w której, jak wiadomo, Chodkiewicz o mało co nie poległ z ręki rajtara szwedzkiego, który doń strzelił z pistoletu o parę zaledwie kroków, i którego sam hetman, pogoniwszy za nim, silnym cięciem szabli zwał z konia. Obraz ten znajduje się obecnie na wystawie, i zalecamy go do oglądania lubownikom sztuki, jako jedną z lepszych prac pana Pillatego. Niechaj wchodząc na wystawę nie obawiają się tłoku, bo podług najsumienniejszego wyrachowania, na zwidzanie tej jedynej i od tak dawna oczekiwanej wystawy krajowych obrazów, przybywa półtrzeciej osoby na dzień. Niepocieszający rezultat!

Zebrane razem pisma Gabryeli mają się wkrótce ukazać w druku. Dawno to pożądana wiadomość; brak bowiem osobnego wydania dzieł tej znakomitej autorki, po różnych pismach porzucanych, był prawdziwą stratą dla licznych wielbicieli jej talentu. Szkoda że tak rzadko odzywa się ona, podczas kiedy tyle mierności narzuca się co chwila czytelnikom. Ale zwykła to kolej rzeczy i dowiódł już tego Pilpaj w bajce o księciu indyjskim, braminie który go uczył i słowiku którego słuchali w gęstwinie. Niestety, tych słowików coraz u nas mniej i coraz rzadziej się odzywają. Żeby to choć raz można zrobić porządek z tym nieznośnym leśnym ptactwem, które krzykliwym swoim świergotaniem zagłusza ich śpiewy i zmusza ich do milczenia!

Pan Beyer tworzy nowego rodzaju album. Fotografuje on artystów teatru tutejszego, w ubiorach w jakich który z nich wyłącznie występował. Już sporo wykonał portretów, a niektóre z nich bardzo dobrze się udały. Już to fotografia, tak tu jak w całej Europie, coraz większe przybiera rozmiary i w coraz liczniejsze rozszerza się zastosowania, nie lekając się nawet współzawodnictwa jakimś jej grożą oczy zmarłych, które, podług twierdzeń dziennikarskich, zachowują obraz ostatni raz widzianego przedmiotu. I prawdą się to zdaje nawet, chociaż wyznają szczerze iż nie chciałbym widzieć przedmiotów, które się po ostatni raz malowały w oczach umiającego takiego na przykład Heliogabala. Ale dajmy pokój historii.

W Warszawie rzeczy idą po staremu: grają orkiestry ogródkowe, pękają rakiety i ognie sztuczne, i różne tam hece i inne widowiska przybywają z Niemiec, od czasu do czasu próbować szczęścia na naszych kieszeniach. Prawdę mówiąc, przestraszyła mnie wiadomość pomieszczona kiedyś w Kuryerze. Donosi on o nowego rodzaju krynolinach nadętych powietrzem, za pomocą którego pomieszczone tam instrumenta muzyczne różnymi harmoniami odzywać się będą.

Sprawiedliwy Boże! Czyliż już niedość mamy tej muzyki, żeby jeszcze tak na równej drodze zagrażała spokojności naszej? Nie wiem dlaczego, ale te uliczne i pokojowe serenady wychodzące z krynolin przerażają mnie. Pytam się nawet jak to będzie ze wszystkimi orkiestrami Bilsego i innych, przy tym nowego rodzaju akompaniamencie?

Mnóstwo nowych domów buduje się obecnie w Warszawie i niemało lokalów stoi pustkami. Dotychczas atoli nie wpłynęło to na obniżenie cen lokalów. Podobno jednak, z powodu zaprowadzających się ulepszeń w wyrobie cegły, cena materiału budowlanego stanie się tańszą, co naturalnie i na wartość domów, a skutkiem tego i na obniżenie ceny lokalów wpłynąć powinno.

W upłyniony wtorek w gmachu resursy Nowej odbyło się balotowanie, skutkiem którego przyjęto 43 nowych członków. Ciągły wzrost i pomyślnie rozwijanie się tego towarzystwa rokuje mu przyszłość coraz świetniejszą, zwłaszcza gdy stanie gmach okazały, w miejscu possessy niegdyś Wernerów wznieść się mający, około którego ustanowiony w tym celu komitet budowlany czynnie już się krząta. Dziś właśnie wpołudnie ma nastąpić położenie kamienia węgielnego pod tę budowlę, a wieczorem członkowie resursy i osoby zaproszone zbiorą się na skromną, jak zawsze w tych murach, koleżeńską biesiadę, w zamiarze uczczenia tej pamiętnej dla towarzystwa uroczystości.

Do Lublina na wystawę rolniczą niemało wybiera się osób. Tygodnik Ilustrowany szle tam swoich delegowanych, którzy ołówkiem i piórem, będą się starali wielki ten jazd uprzytomnić czytelnikom w domu pozostałym.

Jeden z naszych korespondentów donosi nam o następującej rozmowie:

Było to po śniadaniu u pewnego winiarza.

Przy płaceniu rachunku subjekt prosi o dołożenie dziesiątki.

— A dlaczego to? pyta konsument.

— Bo to proszę pana *syr* podrożał.

— Ale jakież powód tego podrożenia?

— A bo to, jak zapewne panu wiadomo, Turcy zniszczyli całą *Syryę* i nie mamy żadnego dowozu.

— Nic dziwnego, odezwał się ktoś z siedzących w sklepie, czas płaci, czas traci. Wszak przypominacie sobie, że onego czasu kiedy u nas *stonia* dobito, tośmy mieli tańszą *stoninę*.

## WSPOMNIENIA Z WYCIECZEK

### PO GALICYI, BUKOWINIE I MOŁDO-WOŁOSZCZYŹNIE.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz zбочyliśmy do Trebowli, tego pomnika szlachetnego bohaterstwa polskiej kobiety. Mury dawnego zamku jak dąb odwieczny stoją wypróchniałe, rozsypane w gruzy i ruiny. Warowna ta twierdza byłaby już za Jana Sobieskiego rozpadła się do szczętu, gdyby jej nie ocaliło dzielne ramię Zofii Chrzanowskiej i nie odparło od niej pohańców. Dziwna rzecz, że wdzięczna potomność, sławiąc bohatera czyn niewiasty, zapisany na kartach dziejów ojczystych, nie uczciła jej dotąd pomnikiem, jak Kordeckiego w Częstochowie.

Oglądaliśmy także Halicz, dawną stolicę królestwa halickiego. Na wzniosłej górze sterczą jeszcze mury zamku z ciosowego kamienia. Zamek ten ma kazamaty na dwa piętra, a z ruin jego przedudny przedstawia się widok na okolicę i na dwie rzeki, które u stóp jego za miastem wpadają do Dniestru. W mieście odznacza się przedewszystkiem starożytny kościół farny, z krużgankami dokoła, jak kościoły pierwszych wieków chrześcijaństwa. Przed wielkim ołtarzem mieści się kamień, na którym wyrzeźbiony łeb wołowy z kółkiem przez nozdrza i ślad jakiegoś napisu, z rokiem wyraźnie oznaczonym 802. Jakaż to ważna pamiątka dziesięciowiekowa, a o niej jeszcze nikt nie wspomniął, nikt się nad nią bliżej nie zastanowił, nie zbadał znaczenia słów na tej płycie wrytych!

Lud tutejszy, szczególnie dorodny i piękny, ubiera się ozdobnie. Mołodyce i dziewczęta celują wzrostem i kształtem; pleć u nich biała, włos czarny, oko wydatne, czarną rzęsą okolone. Mołodyce noszą czapeczki z zielonej albo czerwonej siatki; dziewczęta odznaczają się dwoma długimi warkoczami i koszulą wyszywaną czerwoną włóczką. Mężatki chodzą w czerwonych lub żółtych butach z obcasami, mosiężną obitami blachą; dziewczęta boso albo w trzewikach. Chłopi halicy, ubrani w granatowe żupan, w czapki wysokie czarne baranie, przepasani szerokimi skórzanymi pasami; buty u nich z podkówkami, obcasy blachą także obite. Charakterystycznym tańcem Haliczan są już tylko same kołomyjki, w których mężczyźni skaczą przysiudy.

W Stanisławowie, w zamku niegdyś Potockich, dziś zasiadł cyrkuł. Jest tu jeszcze studnia i łaźnia turecka przez Turków zbudowana. Ormianie, których główną siedzibą jest o parę mil odległa Tyśmienica, zaczynają się także osiedlać w Stanisławowie. Lud ten, odznaczający się prawością i poczciwością, przychylny jest bardzo Polakom. Na Podolu i Pokuciu znajdują się rodziny ormiańskie, znane w historii z zasług dla kraju położonych. Wiadomo że do oswobodzenia Wiednia przez Jana III Ormianie dostawili 5000 jeźdźców pancernych. Daniel książę halicki sprowadził Ormian na Ruś, a syn jego, król Lew, wynagradzając pomoc daną sobie przez nich przeciw książętom ruskim, osadził ich we Lwowie r. 1820. Kaźmirz Wielki nadał im obywatelstwo, przywileje i pozwolił rządzić się oddzielnymi prawami. Mieli oni własne także sądy we Lwowie; dopiero cesarz Józef skasował takowe i poddał ich pod sądy magistratu lwowskiego.

Zwidziliśmy także starożytny zamek Gnin, tatarskich sięgający czasów. Zamek ten, położony na górze, zachował dotąd bramę gotycką, mury dokoła obszernego dziedzińca i kilka baszt. Echo w dziedzińcu kilkakrotnie powtarza wyrazy. Kiedy i przez kogo zbudowany, nie mogliśmy się dowiedzieć.

Udaliśmy się stąd do Jazłowca, gniazda rodzinne-

go Jazłowieckich, znanego i krajowi zasłużonego rodu. Hieronim Jazłowiecki, syn Mikołaja, sławny z mężstwa i odwagi, zmarł 8 grudnia 1607, będąc ostatnim potomkiem tej bohaterskiej rodziny (Siarczyński. Panowanie Zygmunta III, pag. 193). Ruiny zamku jazłowieckiego należą do najwspanialszych w Polsce. Z gruzów jego zbudowali pałac Poniatowscy, z kąd wyjechał na koronację Stanisław August. Zwaliska zamku ogromem swoim zadziwiają; położone na wyniosłej górze cudownie zdobią okolicę.

Znajduje się tu jeszcze w całości sala, z herbem Jazłowieckich nad kominem. W tej sali wyliczony był haracz baszy tureckiemu za Michała Korybuta, wynoszący 60,000 dukatów, a zniesiony później zwycięstwami Jana Sobieskiego. Senat przecież nie potwierdził ani traktatu, ani upokarzającego haraczu. W dziedzińcu zachowane są stajnie i kazamaty. Pokazują także zasypaną studnię na środku tego dziedzińca i okno w zamku, z którego nieostrożna matka upuścić miała na bruk ostatniego potomka Jazłowieckich, syna Hieronima, a potem z rozpaczki i trwogi podobno sama rzuciła się w studnię.

## II.

### BUKOWINA.

Za Jazłowcem inne zaczynają się okolice: równiny nieprzejrane. Ziemia najczęściej czerwona, ztąd *Ruś* czyli *Chrobacya czerwona*. Pagórki ułożone regularnie, nakształt bałwanów morskich. Było też to zapewne kiedyś dno morskie. Łańcuch skał górzystych ciągnie się przez całą podgórną Galicyę, od Ojcowa i Pieskowej skały, aż do Mołdawii i siedmiogrodzkiej ziemi.

Jadąc przez Kołomyję ku Czerniowcom, zatrzymaliśmy się w Obertynie, sławnym zwycięstwem Jana Tarnowskiego nad Wołochami i Tatarami. Widziałem tu trzynaście mogił, częścią rozoranych, ale jeszcze znacznych. Jest tutaj rzeczka pod nazwą *krwawy potok*, bo jak podanie mówi, płynęła krwią wrogów zafarbowana, podczas kiedy Jan Tarnowski liczył szablą poległe trupy. Przypomina to rzeczkę Trupienię pod Kielcami, gdzie Stefan Czarniecki potopił Szwedów.

Przyjęci gościnnie, (bo gdzież sobie muzyka nie zdobędzie gościnności?) w domu mającego Mołdawianina, przenocowaliśmy w Obertynie. Pomieszkarnie naszego gospodarza przedstawiało już dom wschodni. Sala wielka, stół na środku; dokoła przy ścianach dywany czyli sofy, sukniem zielonym okryte, przedzielone wezgłowiami, gdzie gość może się wygodnie położyć, kurząc tytuń z długiego cybucha, którego fajka na blaszanej tacce i kółkach toczy się według woli w każdą stronę.

Bukowina już jest częścią dawniej Mołdawii; nikną też tam wsie ruskie, a zaczynają się chaty mołdawskie. Wino po karczmach używane jest zamiast piwa, a obok wina gorzałka nadzwyczaj mocna i nieprzyjemna w smaku, robiona z kukurydzy. Począwszy od Stanisławowa, podają już wszędzie gościowi najprzód fajkę, *dolczec*, to jest tureckie konfitury z wodą zdrojową ozębioną lodem, nareszcie kawę czarną. Z pomiędzy konfitur najbardziej nam smakowała *halwa* z migdałów lub orzechów i cukru, tudzież *rohatle* czyli chleb sułtański. Jestto jakaś masa soku żywicznego gumowego drzewa, cukrem i różą zaprawna, bardzo pożywna i smaczna. Rohatle z winem mołdawskim, były dla nas całodziennym pokarmem. *Masliny* czyli oliwki marynowane albo suszone na słońcu, zjadane przy winie, bardzo są przyjemne i na piersi i żołądek nadzwyczaj zdrowe.

Nad rzeką Prutem, spokojną, szeroką i czystą, a kniejami, lasami i górami otoczoną, wznosi się niedawno powstałe, piękne na zewnątrz, rozrzucone pogórach, miasto Czerniowce, stolica Bukowiny. Ludność jego wynosi blisko 30 mieszkańców. Ogród publiczny spacerowy bardzo jest obszerny i z wszelkimi wygodami urządzony. Kościół katedralny wspaniały, na górze ratusz z wysoką wieżą i wiele innych gmachów nadają temu miastu zdaleka postać miast wielkich. Pomimo zdzierstwa w Galicyi i Bukowinie upowszechnionego, lud prosty za bezcen tu żyje. Za parę groszy *mamałgi* (placków z kukurydzy) i wina wystarczają na dzienny posiłek robotnikom. Ale inaczej się dzieje w traktyerniach czyli restauracjach, gdzie trzeba wszystko drogo opłacać, i których przedsiębiorcy prędko ogromne robią majątki. W Czerniowcach przed każdą szynkownią, przed każdym niemal domem le-

ży okseft z winem na ulicy, a nikt go nawet nie strzeże, bo właściciel jest pewny, że go nierozkradną, tak wielkie tam zaufanie w poczciwość ludu. Czerniowce w tém podobne do Brodów, że w nich Izraelici rej wodzą, ale ci tak są wykształceni i moralni, że nie-

one z Suczawy, niegdyś stolicy mołdawskiej, a skrzyżowanie ich słycać już zdaleka. Na rynku widzieć można cebule, dynie, melony i kawony w piramidy ułożone; buty wołoskie, berlacze, skóry, wędliny, ryby wędzone, a wszystko to wschodnim obyczajem

króla Olbrachta wyginęła szlachta. Tysiące smutnych wspomnień zrodziło się w umysłach naszych. Ani jednego z tych odwiecznych dębów i buków, których bracia gniotły na miazgę praojców naszych, ni pomnika nawet téj okropnej sceny nie pozostało na



JASSY, STOLICA MOŁDAWII.

jeden chrześcianin mógłby od nich poczciwości się nauczyć. Teatr wędrowny Borkowskiego, bywał w Czerniowcach ze współczuciem przyjmowany.

znajduje się pod gołym niebem. Co kto chce i jak chce, tak sobie sprzedaje, niema tu bowiem kontroli przekupniów, niema numerowanych placów, bud i jatek. Policya także mało ma zatrudnienia.

miejsca! Dziś wszędzie las rzadki, mało zarosły drzewiną, i piękny tylko wiersh Magnuszewskiego uwiecznił te dęby:



MOŁDAWIANIE I CYGANY.

Poznaliśmy tu sławne wozy mołdawskie do wożenia a winogron i wina, do których nie używają ani kawałka żelaza, ani kropli smoły. Koła mają trzy łokcie średnicy; na wozie spoczywa tylko jedna beczka ogromna z winem lub winogradem. Przychodzą

swego talentu. Pożegnawszy to gniazdo Bukowiny, jechaliśmy dalej samymi puszczami, przez miasto Seret, dawną stolicę książąt mołdawskich, dziś nędzną miejscinę, i przybyliśmy do owego pamiętnego lasu, gdzie „za



MOŁDAWIANKI I CYGANKI.

I była cisza na wołoskiej ziemi,  
Od Sepeniny aż do Bukowiny;  
Wiatr, co się zerwał z nad Prutu dziedziny,  
Leciał pogadać z dęby wołoskimi.

Minąwszy miasteczko Radautz, gdzie się znajdują

stadniny cesarskie, przybyliśmy przez puszcze sławne niegdyś rozbojami do Suczawy, ostatniego miasta Bukowiny nad granicą mołdawską, które niegdyś było stolicą gospodarów. Jest tu zamek Sobieskiego, zamieniony dziś na magazyn wojskowy. Zamek książęcy, okazały jeszcze w ruinach, oddzielony jest głębokim parowem od kościoła stojącego na przeciwniej górze. Świątynia ta, w stylu grecko-bizantyjskim, z ciosowego kamienia, połączona jest z zamkiem napowietrznym mostem.

W Suczawie poznał się mój przyjaciel z mężem znakomitym nauką i sercem, Dyonizym Korczyńskim, naczelnikiem magistratu. Wielkim on się stał wielbicielem i protektorem artysty. Zaproszono nas na wieś do Romaneshti, włości barona Capri, na chrzciny synów jego. Zaczny ten obywatel podejmował u siebie liczne grono krewnych i przyjaciół z gościnnością prawdziwie mołdawską. Między innymi poznaliśmy się z weteranem i poetą naszym, Mikołajem Bołozem Antoniewiczem, byłym kapitanem w. p., który deklamował nam niektóre swoje utwory. Po kolacji odbył się koncert na korzyść mego przyjaciela, który artyście znaczną przyniósł kwotę, bo blisko 4000 złp. Po koncercie tak damy jak i mężczyźni oddali się grom w karty, stawiając na los szczęścia ogromne summy. Nadmienić mi wypada, opisując zwyczaj mało znanego nam ludu, że wyższa klasa rozmawia tylko językiem francuzkim, kalęcząc go nieraz najokropniej. Do oświecania salonów używają bardzo wielkiej ilości świec; na stole podczas wieczery u barona Capri narachowałem ich raz około stu, gęsto po-

życie tułacze. Ciężar ich niedoli i przykrój włóczęgi odbija się wyraźnie w ich muzyce: są to romantycy, poeci muzyczni. Cygan nót nie zna, ale instynktem odgaduje harmonią. Wstydy się swego imienia, sądząc że wszystkie ludy pogardzają cygańskim rodem; dla-

tura sama wychowuje te córki swojego łona. Cyganie w Mołdawii i Wołoszczyźnie znani są z wielkiego przywiązania do swoich panów; używają ich też zwykle do służby domowej po dworach, gdzie sprawują obowiązki kamerdynerów, lokajów i rządzców. Cyganki mówią czasem po francuzku i zastępują wtedy bony i ochmistrzynie, a często znajdują się między niemi więcej wykształcone jak sama *kokona* (pani), bo ta próżnuje tylko i zbytkuje, a Cyganka, mając książki pod ręką, sama się kształci jak może. Szkoda że w bibliotekach kokon znajdują się same tylko romanse i żurnale francuzkie!

Cyganie dzielą się tu na stałych mieszkańców i nomadów czyli włóczęgów, którzy często dopuszczają się złodziejstwa i rozbojów. Ci ostatni, według podania, przyszli do kraju za panowania księcia Aleksandra Dobrego około r. 1400. Przekładają oni, jak Beduini, Arabowie i Tatarzy, źle zrozumianą swobodę, choć z nędzą i pogardą złączoną, nad życie pracowite i porządne. Mistrz muzyki nigdzie tak nie jest ceniony jak u Cyganów; uważają go oni za jakieś wyższe jestestwo. Muzykę też dobrą od ladajackiej odróżnić umieją i zaraz o ile mogą naśladowują to, co usłyszeli. Towarzyszą oni skrzypcom na teorbach z krótką szyją, zwanych *kobzą*. Instrument ten ma kilkanaście strun poruszanych, a raczej szarpanych piórem gęsiem przerznietym. Mistrz ich muzyczny szanowany jest jak ojciec; każdy całuje go w ręce, kłaniając się z uniżonością. Pieśni mołdawskie są nadzwyczaj rzewne i oryginalne; opiewają nieszczęścia kochanków, smutne wy-



RODZINA MOŁDAWSKA.

tego zwykle Cyganie przybierają imiona węgierskie, serbskie lub mołdawskie, włócząc się po świecie pod nazwą muzyki węgierskiej. W Mołdawii doznają dobrego zresztą przyjęcia, a nawet Bojarowie żenią się czasem z Cygankami. Bo też Cyganka, kiedy piękna,



PRZECIĄG SZARAŃCZY W MOŁDAWII.

nasadzanych w kosztowne kandelabry.

Zadowoleni okazaną nam życzliwością, wróciliśmy do Suczawy. Na wstępie do miasta usłyszeliśmy muzykę Cyganów, rzewną, pełną czucia i wyrazu. Nieszczęśliwy ród ten pariów naszego społeczeństwa prowadzi

to ideał, dający łatwo zapomnieć o swém pochodzeniu. Cyganki odznaczają się dużemi, najczęściej czarnemi oczyma, długimi rzęsami, wejrzeniem pełnym ognia i uroku, białemi jak kość słoniowa zębami i kształtną, pełną giętkości kibicią. Zdaje się że na-

padki dziejowe, sławne boje i klęski, tudzież powieści o rycerzach, najczęściej o Stefanie Wielkim. Pieśn pasterska, tak zwana *Dojna*, taniec *Arkan*, pieśń *Poeta karuca* odznaczają się przed innymi piękną i tkliwą melodyą. Pieśni mołdawskie zebrali Hertz i Karol

Mikuli. Oprócz tego upowszechnione tu są pieśni bułgarskie, serbskie i kroackie.

Izraelici w Mołdawii są bardzo liczni. W Jassach ma być około 35 — 40 tysięcy. Odznaczają się oni czystością i porządkiem w domu. Ściany ich mieszkań pobielane, podłoga co tydzień myta, łóżka i sprzęty domowe nie bogate, ale czyste i porządne. Trudnią się handlem, szynkowaniem wina, a co dziwniejsza, rzemiosłami. *Adżyja*, policja mołdawska, częstokroć wielkie im krzywdy wyrządza, jeżeli się nie opłaca. Byliśmy świadkami jak *aga*, (dyrektor policji), kazał rozebrać ubogiej Izraelitce dach za to, że nie zapłaciła podatku, i dopiero po uiszczeniu się z takowego wolno jej było nowy dach postawić.

Izraelici dzielą się na ucywilizowanych i hussytów (Chassidim). Sekty te nienawidzą się wzajem. Pierwsi przeważają liczbą i posyłają swe dzieci nieraz do szkół chrześcijańskich. Hussyci w czasie mołdów dziwaczne czynią poruszenia ciała: klaskają w ręce, podskakują, spluwają i t. d. Religia ich zasadza się właściwie na modlitwie, postach, czyszczeniu ciała i odmiennym ubiorze. Myją się przynajmniej pięć razy na dzień i, w tym podobni są do Turków, których bardzo rzadko spotkać można w Mołdawii, i to najczęściej w ubiorze europejskim. Hussyci żenią się zwykle w wieku od 10 — 14 lat. Są to najwięksi fanatycy i zarazem tak zabobonni w swych zwyczajach i życiu domowym, że potrzeba będzie wieków na ich przeistoczenie.

### III.

#### MOŁDAWIA.

Opuściwszy nareszcie po kilkodzielnym pobycie Suczawę, udaliśmy się przez nędzną miasteczkę Michałeny w dalszą podróż i stanęliśmy na ziemi starożytnych Daków, w właściwej Mołdawii. Wedle przyjętego zwyczaju, opisując kraj tak interesujący obecnie całą Europę, a niewiele znany, należałoby zacząć od podziału politycznego. Gdy jednak na mocy kongresu paryżskiego Mołdawia, powiększona przyłączeniem części Besarabii, w inne pod tym względem wchodzi dziś warunki, przeto pomijamy ten ważny przedmiot, zwłaszcza że wkrótce wyjdzie ma z druku w Bukareszcie nowa geografia księstw naddunajskich.

Mołdawia czyli Multany właściwe, jest to część starożytniej Dacyi, zajęta przez Trajana, który wystawiwszy pod Orsową most na Dunaju, przeszedł go z legionami rzymskimi i zwyciężył potężnego króla Daków Decebala. Tak więc Dacya, składająca się wówczas z Serbii, Wołoszczyzny, Siedmiogrodu, Mołdawii i Bukowiny, stała się czasowo prowincją olbrzymiego państwa rzymskiego. Ale już cesarz Adryan rzekł się panowania nad Dakami; most dunajski kazał rozebrać i zostawił ich własnemu losowi. Odtąd ziemia ta stała się teatrem krwawych walk pomiędzy barbarzyńskimi hordami, które ją sobie kolejno wdzierały, jak Gotowie, Hunny, Bulgary, Awary, Hazyry, Pieczyngi, aż nareszcie Madziarowie podbili ją całkowicie, ażeby znów później ustąpić silniejszym Polowcom i Kumanom, którzy około XI wieku zajęli kraje od Donu aż do Karpat.

Geografowie europejscy dzielili Kumaniją na azyatycką i europejską, czyli białą i czarną. Wkrótce Mongołowie opanowali tę ziemię, zniszczyli ją ogniem i mieczem, wyparli mieszkańców, a nareszcie sami opuścili ją, jako step bezludny. W XIV wieku wyparci z Węgier Rumuni zaludnili kraj pusty na nowo; wodzem ich był Bohdan I czyli Dragosz, który od rzeki Mołdawii nazwał kraj ten Mołdawią. Dynastia Dragoszytów później naprzemian podlegała to Węgom, to Polakom, aż na koniec Turcy ją podbili.

Trudno oznaczyć dokładnie ludność Mołdawii, bo porządny spis mieszkańców był tu dotąd niepodobieństwem. Niemcy, którzy zazwyczaj o wszystkim wątpią, a najmniej wierzą podaniom miejscowym, obliczają ludność Mołdawii nie wyżej nad milion; Mołdawianie zaś utrzymują, że wynosi najmniej dwa miliony, zapewne licząc w to już i obcych, których tu jest bardzo wielu, jak: Węgrów, Niemców, Greków, Serbów, Anglików, Włochów, Ormian, Izraelitów i Cyganów.

Religią panującą w księstwach naddunajskich jest grecka. Metropolita mołdawski rezyduje w Jassach. Biskupi w Husza i Rumeni, tak jak naczelnicy kościoła greckiego i wołoskiego, podlegają patryarsze konstantynopolitańskiemu. Są tu liczne seminaria, tudzież klasztory osadzone mnichami i mniszkami, w których

każdy podróżny znaleźć może bezpłatny wypoczynek i pomoc. W ogóle w Mołdawii jak i w Wołoszczyźnie zbyt wielka jest liczba duchownych, nie odznaczających się wcale nauką, bo wielu z nich zaledwie pisać umie, wyjąwszy tych tylko, którzy za granicą odbywali nauki.

Przejechaliśmy przez nędzną miasteczkę Buczacz i piękną wieś Kaleneszty, gdzie się znajduje wspaniały pałacyk zbudowany w smaku wschodnim; przebywszy na koniec lasy pokrywające wzgórze, z najwyższego z nich ujrzelśmy w oddaleniu miasto mołdawskie, największe po Jassach, Botuszany. Ludność jego dochodzi 12,000, złożona z Ormian, Wołochów i Izraelitów. Miasto to posiada kilkanaście kościołów greckich, z wieżyczkami blachą obitemi, w stylu wschodnim; jest też i kościół katolicki, zbudowany ze składek zebranych przez księdza franciszkana. Mało tu widać domów porządnym murowanych; po większej części drewniane, otoczone kałużą błota. Na przedmieściach domy te tak bywają nędzne, że częstokroć zamiast szkła w oknach używają pęcherza. Pozostawszy tu na noc, udaliśmy się wieczorem na bal, gdzie po raz pierwszy mieliśmy sposobność podziwiania piękności mołdawskich dziewcząt, pełnych powabu, kształtnej kibici i zgrabnych ruchów w tańcu.

Nazajutrz wlekliśmy się po górach i dolinach, przebijając się przez błoto nie do opisania. W dolinach, kałuże zalewały osie wozu, po górach tłusta glina, w której koła nie mogły się obracać; trzeba było stawiać co kilkadziesiąt kroków. Odetchnęliśmy nareszcie na stacji pocztowej, i odprawivszy furmana z Botuszany, wzięliśmy pocztę mołdawską. Nieświadomi zwyczajów i nawyknień krajowych, pocieszaliśmy się tą myślą, że pozostałe jeszcze parę mil do Jass odbędziemy wygodnie. Jakież było zadziwienie nasze, kiedy zajechała *karuca*, wóz pocztowy, z 12 zaprzęgniętymi końmi w pary. Niepodobna jechać we dwóch wygodnie na jednej karuce, bo jest tak wązka i podłużna, jak skrzynia albo trumna na czterech kołach spoczywająca. Podróżny często pasami albo powrozem musi się dać przywiązać, bo taka poczta w 8, a w porze błotnistej w 12 koni zaprzężona, pędzi bez ustanku cwałem. Woźnica czyli pocztylion okłada długim batem bieguny, wyśpiewując piskliwym głosem piosenki mołdawskie. Nie obejrzy się nigdy; więc jeśli przypadkiem podróżny wyleci w błoto, pocztylion przybywa sam na stacyą, z kąd dopiero wysyłają inną karucę po zgubionego passażera. Punktualność ta ztąd pochodzi, że podczas ostatniej wojny sułtan Mahmud wydał był rozkaz, ażeby każdy pocztylion pod karą śmierci na naznaczoną przybył godzinę. Można sobie wystawić, jak wyglądaliśmy, gdy oblepieni błotem i z bólem krzyżów przybyliśmy na stacyą. Cóż dopiero powiedzieć o przyjemności takiej podróży podczas upałów letnich i gęstej kurzawy, powstającej z wysuszonego mułu mołdawskiego, który zwykle na pył bywa sproszkowany. A jednakże ten namuł morski bez pracy prawie wydaje skarby roślinności. W polu rosną całemi łanami samorodne szparagi, kalafior, sałaty, grochy, a po lasach grzyby, trufle, kasztany, rozmaite jagody i t. p., a wszystko to prawie się marnuje w odwiecznych stepach i lasach. Mołdawianin zupełnie jest obojętny na te bogactwa swojej ziemi.

Niema też tu ani szkoły rolnictwa, ani nagród za poprawną rasę bydła, ani szkólek wiejskich, ni własności gruntu chłopskiego. Przybysze nie dbają podobnie o nic, tylko zbierają jaknajprędzej majątek i odjeżdżają z nim do rodzinnego kraju. Pszenica wydaje tu niekiedy 70 ziarn, czego i w Ameryce niema, bo jak Humboldt pisze, w jednym tylko Chili dochodzi pszenica do 60 ziarn. Żyto wydaje ziarn 18 — 20, kukurydza 100. A cóżby jeszcze być mogło przy innej uprawie i przy większym staraniu? Mołdawianin gdy ma podostatkiem mąkałgi, mleka, miodu, baraniny, wina i tytoniu, o resztę nie dba. Mołdawia i Wołoszczyzna posiadają srebro i złoto w rzekach, sól i węgiel w kopalniach, ale niewiele ztąd ciągną korzyści. Ogrodnictwo tu nieznanne, lud ciemny, pijaństwu i próżniactwu oddany, acz łagodny, gościnnie i dobroduszny. Bojary, szczególnie młodzi, oddani zbytkom, kartom i rozpuście, nie troszczą się o byt ludu. Niektórzy jednak zrzucają powoli z siebie to piętno barbarzyńskiego życia, zaczynają się kształcić i wstępować w szeregi obywateli kraju, z obudzonym duchem i zbawiennymi ideami.

Przybysze, znając nierozsądną słabość bojarów do

hołdowania francuzczyźnie, podszywają się zaraz pod firmę paryżką, bo ta drogo tu bywa cenioną i opłacaną. I tak po miastach mołdawskich i wołoskich na każdym znaku czytasz: N. N. cordonnier de Paris; N. N. tailleur de Paris; N. N. restaurant de Paris; słowem wszyscy przedsiębiorcy i przemysłowcy są z Paryża, choć niejedni z nich nie wie dokładnie, czy Francya leży w Paryżu, czy Paryż we Francyi.

Ubawiliśmy się później w czasie bytności naszej w Jassach niemało, odwiedzając niektóre pracownie, na przykład krawieckie, gdzie Izraelici wyrabiali potajemnie jaknajmodniejsze paletoty, kamizelki i t. d., a znowu Żydówki, szyły prześliczne kaftaniki, suknie, gorsety, które za umową na tuziny sprzedają tutejszym kupcom galanteryjnym i bławatnym, a ci ogłaszają afiszami, że *nadszedł świeży transport z Paryża męskiej i damskiej garderoby i t. d.*, odzierając zaślepionych w cudzoziemczyźnie bojarów bez litości. Jakżeż nie mają owi kupcy robić ogromnych majątków? Ale biada temu, kto by tę tajemnicę mołdawskiego Paryża chciał publicznie ogłaszać, bo kupcy wielkie tu mają wpływy i łatwo takiego weredyka potrafią uprzętać z drogi. Tu z Wirgiliuszem powtórzyć tylko możemy: „*Sic vos non vobis pellem fertis oves.*“

Chłoptwo mołdawskie i wołoskie w błogosławionej prostocie wiecie swój żywot, jakby jeszcze za Kumanów. Dzieci rodzą się zwykle bez wszelkiej pomocy lekarskiej. Same kobiety leczą się ziołami, czarami i zabobonami, jak Hotentoci. Zażęgnywania czarownic od uroku ważną tu odgrywają rolę. Chłopak mały do lat kilku chodzi bez koszuli, jak go Pan Bóg stworzył, słoniną od czasu do czasu smarowany, i chowa się w braterskim towarzystwie różnych zwierzątek domowych. Taki brzuchaty *bańdziuch*, gdy dojdzie lat 9 — 12, ubrany w koszulę, przepasany rzemykiem i uzbrojony batogiem, wiecie w pole przyjacielską rzeszę baranów i wieprzów i tam pod czystym lazurem nieba, oparty o wierzbę, dacki ten Tyrsys dmie pieśni w sielską fujarę „gwoli swój Amarylli,“ rosnąc przed Bogiem i ludźmi wsiły fizyczne. W ósmym roku w żywocie młodzieńca ważna zachodzi zmiana: dostaje po raz pierwszy suknią ojca, na znak że ten każe mu się żenić, pozwalając szukać towarzyski życia wśród okolicznych mołodyc.

Wypocząwszy cokolwiek po torturowej podróży w pocztowej karuce, najeliśmy znowu furmana, udając się już prosto do stołecznego miasta Jass, które nadaremnie zdobył Jan Sobieski, utracivszy w różnych wyprawach trzy armie i 100 milionów złp. Cała Wołoszczyzna i Mołdawia bujnie są użyzione krwią polską. Klęska 1359 r. za Kaźmirza W. ponieciona, zrodziła już wtenczas przysłowie: *Valachia tumultus Poloniae.*

Zdaleka widok Jass od strony przedmieścia *Pokorare* jest bardzo wspaniały. Na wzgórzu zwanem *Koppo*, otoczonem romantyczną doliną, po której wije się błotnista rzeka *Bachluj*, wznoszą się pałace bojarów, ponad którymi wystrzela w górę okazała marmurowa katedra mołdawska, o czterech wieżach spiczastych. Winnice otaczają miasto po wzgórzach dokoła.

Pośród powodzi rzadkiego błota wjechaliśmy na przedmieście *Pokorare*. Przedmiotem ciekawym dla nas na pierwszym zaraz wstępie były zamaskowane figury przejeżdżające. Domyśliłszy się, że Mołdawianie, jadąc w dorożkach, żeby nie być obryzganymi błotem, wkładać muszą na siebie te worki z ceraty lub gutaperki, z otworami na usta i oczy, o cośmy się później także postarali. W tych bezprzykładnych topielach ulicznych znajdują nieraz ludzie i zwierzęta śmierć niespodzianą. Pochodzi ten nieporządek z braku kamieni, a chodniki tylko z desek w niektórych miejscach są układane. Na rogatce zadziwiły nas także okna z pęcherza u pana inspektora, który spojrzawszy na nas miłośnierze, dostał swój bakszys i odebrał paszporta.

Pchając się po oceanie błota stołecznego do miasta, które coraz stawało się piękniejszym i ludniejszym, zajechaliśmy nareszcie do *Han Gemisz* (oberży). Dano nam pokój o dwóch oknach za kratami. W sieni zastaliśmy Cyganów leżących dokoła, i jeden tylko numerowy pełnił służbę, bo inni swoje już odrobili; do każdego bowiem rodzaju usługi oddzielny tu jest służący, który gdy swoje odbędzie, kładzie się spać. To samo czyni i żeńska służba, którą tylko znaleźć można u bojarów na usługi kokony albo kanonicy (pani albo panny).

Niezmierne tu w ogólności panuje lenistwo, zwłaszcza między kokonami. Panie te w swoich pałacach na Pokorare leżą po całych dniach na sofach, i albo czytają romanse francuzkie, albo bawią się po dawnemu paciorkami. Paciorki są tu oznaką bojara, niby patentem nadającym mu swobodę do próżnowania, choćby całe życie. Stary też bojar, leżąc na dywanie, pali tylko na długim cybuchu i przebiera w paciorkach, zabiera je z sobą w drogę, a nawet idąc bawi się niemi. Młody bojar, znudzony w domu, ucieka do miejsc gry hazardownej, albo wyjeżdża do Paryża, z kądem z większymi jeszcze powraca nudami, blade zwykle i zgarbiony. Taki jest w ogólności stan moralny wyższej warstwy społeczeństwa mołdawsko-wołoskiego.

Rozpatrzywszy się w nowym naszym mieszkaniu, po którym myszy rządy swoje rozpościęrały, zapytaliśmy, czyby nie było co do jedzenia. „Są bombele, sarmale, pieczeń barania z czosnkiem i indyże jaja pieczone.“ Zainteresowały nas bombele i sarmale. Pierwsze, jest to potrawa nie bardzo apetyczna, sporządzona z rośliny, której łodygę pokrajaną w kawałki, suszą na słońcu na sznurkach, jak u nas grzyby, a po ugotowaniu oblewają oliwą. Podziękowaliśmy więc za ten przysmak krajowców, a wzięliśmy się do sarmalów. Są one rozmaite, albo z kapusty słodkiej i kwaśnej, albo z cebuli sporządzone. Jest to jedna z najsmaczniejszych potraw, a najlepsza z cebuli. Trzeba wiedzieć, że cebula rodzi się tu zwykle wielka, nadzwyczaj soczysta i słodka; surowa nawet daje się jeść z przyjemnością. Wybiierają się cebule jak największe, z których wyjęty środek, z mialkim imbirerem, pieprzem i młodą baranią usiekany, wkłada się napowrót w próżną cebulę, zawiązuje nitką i smaży w łożu baranim. Cebula wtedy przesiąka zupełnie tłuszczem i smakiem siekanki, co daje potrawę bardzo dobrą.

Kiedyśmy tak zajadali nieznaną u nas przysmak, czyniąc nad niemi różne spostrzeżenia, zajechała w dziedziniec kolasa przedpotopowego kształtu, na długich resorach, w dziesięć koni parami zaprzężona. Trzech zwoszczyków siedziało na koniach, dwóch Cyganów na koźle, z których jeden był kamerdynerem, a z tyłu karety Arnauta, z ogromnym worem safianowym, pełnym tytoniu u pasa i przewieszonymi przez plecy fajkami o długich cybuchach. Był to tak zwany *czybucki*, to jest służący do podawania panu i gościom *czybuk* (fajki). Jakkolwiek obryzany błotem, ubiór jego wydawał się prawdziwie malowniczo. Twarz piękna, pociągła, grecka, oko i brew czarne, wąsy obwisłe, długie, postać wysoka, kształtna i giętka. Na głowie miał fez amarantowy z czarnym kutasem z tyłu, na sobie kaftan zielony aksamitny, wyszywany srebrem na sposób grecki; pas ponsowy aż po pachy; na kaftanie krótka kamizela amarantowa także wyszywana, nad pasem zaś stercały pistolety i kindżał, a nad biodrami spadała odstająca biała spódnica muslinowa, sięgająca aż do kolan; spodnie obcisłe amarantowe, z materyi wełnianej; na nogach bótiki safianowe żółte, dochodzące do pół łydki, z tyłu ozdobne klinem srebrnym, wyszywane na wzór Kleftów albańskich; obcasy obite żółtą blaszką. Tak tu nakładacz fajek czyli *czybucki* bywa zwykle ubrany.

Chrapliwy głos odezwał się z kolasy: un pohar du rakien, (kubek gorzałki). Kiedy mu podano wódkę, skosztował nieco, a resztę wylał, skinąwszy palcem, ażeby i ludzi poczęstowano. Kamerdyner Cygan, wypiszący wódkę, ucałował dłoń bojara, który siedział rozparty w futrze, pomimo że dosyć było parno. Na głowie miał ogromną *dynię*, czyli czapkę z sukna niebieskiego, z galonem srebrnym; oko duże, czarne, wypukłe, brew na palec grubą; za pasem pistolety. Biała spódnica, której zwykle Mołdawianie-starowiercy używają zamiast spodni, okrywała jego ciało; paciorki nieodstępne szeleściły w jego ręku. Z takim dumnym panem potrzeba postępować bardzo ostrożnie, bo kindżał za pasem albo pistolet nie zawsze próżnują. Zajechała też niedługo druga i trzecia kolasa, z żoną i synem tegoż bojara. Poznaliśmy się później bliżej z tym starowiercą, ale znajomość ta nie nazbyt była miłą i bezpieczną. Zostaliśmy do niego zaproszeni na herbatę, a towarzyszący mój zabawił go muzyką, w której bardzo zagustowała młoda i nadzwyczaj piękna jego żona. Artysta, jako miłośnik wszelkiej piękności, trochę zalotnie może spoglądał na czarującą kokonę, a stary bojar, puszczając na dy-

wanie kłęby dymu, mruzczał sobie coś pod nosem. Syn jego, dosyć ukształcony młodzieniec, po francuzku ostrzegł mego przyjaciela, ażeby nie wpatrywał się tak w jego nadobną macochę, bo ojciec gotów w nim kindżał utopić. Zmarszczył się na to artysta i nie spojrział już więcej na piękną kokonę. Wkrótce też pożegnaliśmy się, zerwawszy odtąd wszelkie stosunki z zazdrosnym starowiercą.

W tej też oberży poznaliśmy murzyna Abissyńczyka, który, jak powiadał, służył w czwartym pułku wojsk polskich, a potem u kilku panów rosyjskich pełnił obowiązki lokaja. Był u konsula belgijskiego a obecnie starał się o służbę u konsula austriackiego. Mówił kilkoma językami, a szczególnie dobrze się wyrażał po polsku. Widywaliśmy go dość często w Jassach, i zawsze prawie otrzymywał od nas bakszys, za co widoczną okazywał nam wdzięczność ściskając nasze ręce.

Rzeka Bachluj, płynąca pod Jassami, dziś wązka i błotnista, była niegdyś szeroka, jak okazują jej dawne brzegi; ale bojary przyczynili się do jej zmniejszenia przez spuszczenie wody na swoje młyny i tartaki. Główną część miasta stanowi ulica *mare* (wielka), plac i pałac rządowy, gdzie był niegdyś zamek spalony przez Turków. Godnemi prócz tego uwagi są: pałac Ypsylantego, który niedawnymi jeszcze czasy, podczas zdobycia Jass przez tegoż wojownika, otoczony był żerdziami, z osadzonemi głowami Turków przez Mołdawian w pień wyciętych. Wspaniała kościół *San Spiridion* na ścianach ma napisy arabskie, złożone w marmurze; są to zabytki tureckie, pozostawione na dawnym meczecie. Naprzeciw kościoła wznosi się szpital *San Spiridion*. Czystość i utrzymanie chorych w tym szpitalu wzorowe. Każdy z zagranicznych przybyszów w razie choroby podejmowany tu jest bezpłatnie, podobnie jak i w innych szpitalach Mołdawii i Wołoszczyzny. Kościoły zwykle są otoczone cmentarzami nieoparkanionemi; same tylko groby zamknięte bywają sztachetami, a na słupku przy każdym z nich zawieszona jest latarnia, którą wieczorem oświecają przyjaciele i krewni zmarłego. Takie wieczorne światelka grobowe malowniczo sprawiają widok, zwłaszcza przy świetle księżycy. Niema wątpliwości, że to chowanie ciał zmarłych wpośród miasta, na zdrowie mieszkańców wywierać musi złe skutki, a nawet jest to nieuszanowanie dla umarłych, których kości psy nieraz rozwłóczą po mieście.

W Jassach znajduje się także uniwersytet, o którym pod względem naukowym niewiele się da powiedzieć. Godne są jednak widzenia gabinety, mianowicie mineralogiczny i zoologiczny, gdzie przy wejściu widzieć można ogromnej wielkości dobrze zakonserwowany kościotrup mamuta. Mieszka także w Jassach kilkunastu mężów uczonych, po większej części obcych; są też i poeci mołdawscy; ale pomiędzy uczonymi najgłówniejszą rolę odgrywają redaktorowie istniejącej niegdyś gazety *Zimrul* i *Gazeta di Moldavia*. Spodziewać się należy że w obecnym stanie politycznym obu księstw naddunajskich pisma peryodyczne i w ogóle literatura narodowa zaczną się rozwijać i kształcić, bo dotąd była ona w jakimś ociężałym uśpieniu.

Charakterystyczne są obyczaje niektórych sekt religijnych, które wyparte z innych krajów, tu znalazły przytułek i wolne wyznanie wiary. I tak, oprócz Greków, Izraelitów, Ormian i t. p., najwięcej zasługują na uwagę Filiponi, tak nazwani od Filipa Pustowiata, odszczepieńca. Niewolno im rozwodzić się, ani używać lekarskiej pomocy, jak również pić gorących napojów, palić tytoniu i t. p. Pod względem moralnym i społecznym mają niektóre zalety, zbliżające ich do Kwaków. I tak: brzydzą się grą, płochami rozmowami, zaklinaniem się, nienawidzą wszelkiego bicia, wojny i krwi przelewu, a życie ich jest skromne. W księstwach naddunajskich trudnią się różnymi rzemiosłami, handlem bydła i ryb, a wielu z nich także jest dorożkarzami. Znajduje się tu jeszcze inna, pod wielką względami do Filiponów podobna, sekta, tak zwanych *Skopiców*. Składa się ona z samych tylko mężczyzn, unikających kobiet i żyjących po czterech do ośmiu w jednym domu, w prawdziwym komunizmie, nazywając się braćmi. Gdy który z nich umrze, starają się próżne miejsce nowym zapełnić prozelitą, umarłego zaś chowają w tajemnym miejscu, aby ludzie innego wyznania nie dowiedzieli się gdzie trup Skopica spoczywa. Modlitwę odprawiają jak tańczący derwisze tureccy, skacząc dopóty, póki śmiertelna koszula,

którą do modlitwy przywdziewają, potem nie przesiąknie. Żyją zresztą na sposób Filiponów, a świąt żadnych nie obchodzą.

Wyznawcy kościoła rzymsko-katolickiego znajdują się w obu księstwach naddunajskich w liczbie kilkudziesięciu tysięcy. W Jassach mieszka biskup katolicki, i jest tam wikaryat, równie jak w Serecie, Bistrycy i Tekucz. Duchowni są zakonu św. Franciszka. W Bukareszcie, oprócz biskupa, znajduje się szkoła katolicka panien, do której przyjmują młode dziewczęta wszelkiego wyznania, na zasadzie nieograniczonej tolerancji wyznań religijnych w obu księstwach.

Nie wdając się w szczegółowy opis innych wyznań religijnych, jak: ormian, luteranów, i t. d., które po większej części są znane, pomijając ogromną liczbę kościołów w Jassach, których tu przeszło sto się znajduje, nie wchodząc wreszcie w wywód historyczny i statystyczny księstw naddunajskich i miast ich po szczególe, wolę bliżej zapoznać czytelnika z domowym życiem tutejszych bojarów, których piękne pałace jaśnieją na wyniosłym wzgórzu *Kopo* na przedmieściu Pokorare. Pałace te prawie wszystkie są do siebie podobne, z przysionkami na froncie do zajęzdzania. W każdym przysionku znajduje się kamień, na który się stąpa, wysiadając z kolasy. Po schodach wysłanych dywanami, wchodzi się do przedpokoju i komnat. Drzwi salonów bywają zwykle osłonięte firankami aksamitnymi, koloru amarantowego albo zielonego, ze złotymi lub srebrnymi frenzlami. Cała podłoga okryta kobiercami, a często także ściany i sufity. O ćwierć łokcia od ściany znajduje się palisandrowe zwykle parkietowanie, zdobne w arabeski wysadzane perłową muszlą, kością słoniową i t. p. Sale ogromne, wysokie, pełne posągów i wazonów marmurowych w guście rzymskim. W takim salonie znajdują się zwykle trzy lub cztery garnitury mebli; niekiedy widzieć można kosztowne obrazy, etruski, zabytki z Herkulanum i Pompei i t. d. Jedną z najznakomitszych ozdób salonów mołdawskich są piece, których w jednym salonie znajduje się czasem cztery, a najmniej dwa. Są to na małą skalę niby portyki w stylu greckim, wsparte na czterech lub sześciu kolumnach, z alabastru lub białego marmuru, rzeźbą ozdobnych, i te to kolumny, wewnątrz próżne i blachą wybite, ogrzewają w czasie zimowym salony bojarów.

Zostaliśmy zaproszeni na wieczór do znakomitego domu, bo towarzyszący mój w Jassach wiele porobił znajomości. Uprzedzeni przez Francuza gubernera, zastosowaliśmy się w zupełności do tutejszych wymagań i zwyczajów w wyższym towarzystwie przestrzeganych. Wchodząc do salonu, trzeba umiść z gracyą rozsunąć obiema rękami franki, a potem oddać jak najniższy ukłon kokonie i ucałować jej rączkę, oddając nieodzowne: *Madame, je suis charmé de vous présenter mes respects*, za co zwykle otrzymuje się od ładnej kokony pocałunek w czoło. Potem należy się ukłonić mężczyznom, z lekka głową kiwając. Ktoby nisko się ukłonił, uchodziłby za prostaka. Kokona elegantka zawija sama sułtański tytuń w papiros, a pośliniwszy go końcem języka, podaje gościowi.

Podano doleciec z wodą lodową; potem syn domu zagrał polkę mołdawską, a gospodarz, biorąc jedną damę po drugiej, przetańczył ze wszystkimi po kolei, co tu uważają za wielką grzeczność ze strony przyjmującego gości. Mołdawianki odznaczają się nie tylko pięknością kibici, ale i giętkością w tańcu. Są one zalotne, próżne, niestałe i oddane tylko błyskotkom. Dozwolone rozwody są powodem okropnej demoralizacji. Związek małżeński jest tylko kontraktem na lat kilka, po których małżeństwo w najlepszej zgodzie zwykle się rozchodzi, w nowe wstępując związki. Nowowiercy Mołdawianie, strzegą się też wszelkiej zazdrości, uwłaczającej według nich, dobremu tonowi. Byliśmy świadkami jak młoda i ładna kokona, wprowadzona do salonu przez trzeciego już męża, podając lewą i prawą rękę, powitała dwóch pierwszych mężów swoich, z którymi żyła po lat kilka, a powitanie to nastąpiło z największą serdecznością i z uśmiechem pełnym niewymuszonej szczerości. Zaproszone towarzystwo zasiadło do stołu, na którym zastawione były w dwa rzędy różne łakocie i marynaty na małych talerzykach. Były tam figi, daktyle, rodzenki bez pestek, winogrona świeże i suszone, pomarańcze i inne owoce smażone w cukrze, hałwy, rohatle w rozmaitych gatunkach, a z pomię-

# NASZE KWIATY.

Słowa Justyna W., muzyka St. Moniuszki.

Kie - dy kwiat mło - do - ści, po - do - bień - stwo bo - że, zdo - bny jest do - bro - cią, sło - dy - cza, skrom - no - ścia, ro -  
 Nie in - ne wszak kwia - ty i w Pol - see i Li - twie, wznosząc myśl ku nie - bu cu - dnym o - ta - cza - ły  
 Uj - rzaw - szy zaś ta - kie ko - ło sie - bie kwia - ty, po - my - ślą tém ży - wiój w dobie u - ro - czy - stój, że

zu - mem i da - wnych Po - lek po - bo - żno - ścia, czyż nad ten pię - kniej - szy ziemi kwiat być mo - że? czyż nad ten pię - kniej - szy kwiat  
 wieńcem przodków na - szych znój w pracach wytrwały, toż ma - rzą ich wnu - ki w serc swych mo - dli - twie, toż ma rzą ich wnu - ki  
 kwiat du - szy pię - knój, bło - gi kwiat wie - czy - sty, po - łą - czy przeszło - ści i przy - szło - ści świa - ty, po - łą - czy prze - szło - ści i

zie - mi być mo - że?  
 w serc swych mo - dli - twie.  
 przy - szło - ści świa - ty.

dzy ryb lakierda, rak morski i krakatica. Lakierda, jest to ryba mająca około półtora łokcia długości, poławiana w morzu Czarném. Mięso jój do połowy

ciała jest czarne jak heban, połowa zaś brzuszna ma barwę łososia; jest smaczniejsza jak ślédz hollender - ski i rozplywa się w ustach, ale ktoby jój zbyt dużo lub często używał, niezadługo doznałby wstrętu.

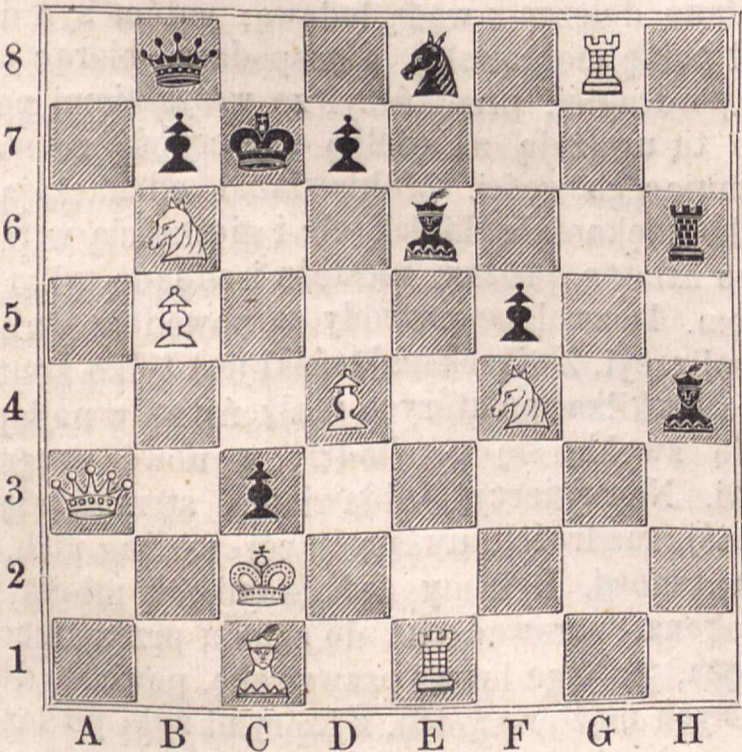
źdój potrawie zostawiał grabki, nóż i łyżkę na talerzu, oczekując świeżo obmytych. Kiedy zaś po deserze nie mógł się doczekać kubka z wodą, nalał jój sobie sam w szklanke, obmył końce palców i wypłukał usta nad talerzem. Uczyniło to niemałe wrażenie na przy - (Obacz Dodatek.)

## S Z A C H Y.

ZADANIE XXXV.

Białe zaczynają i dają matę za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 34.

Białe.

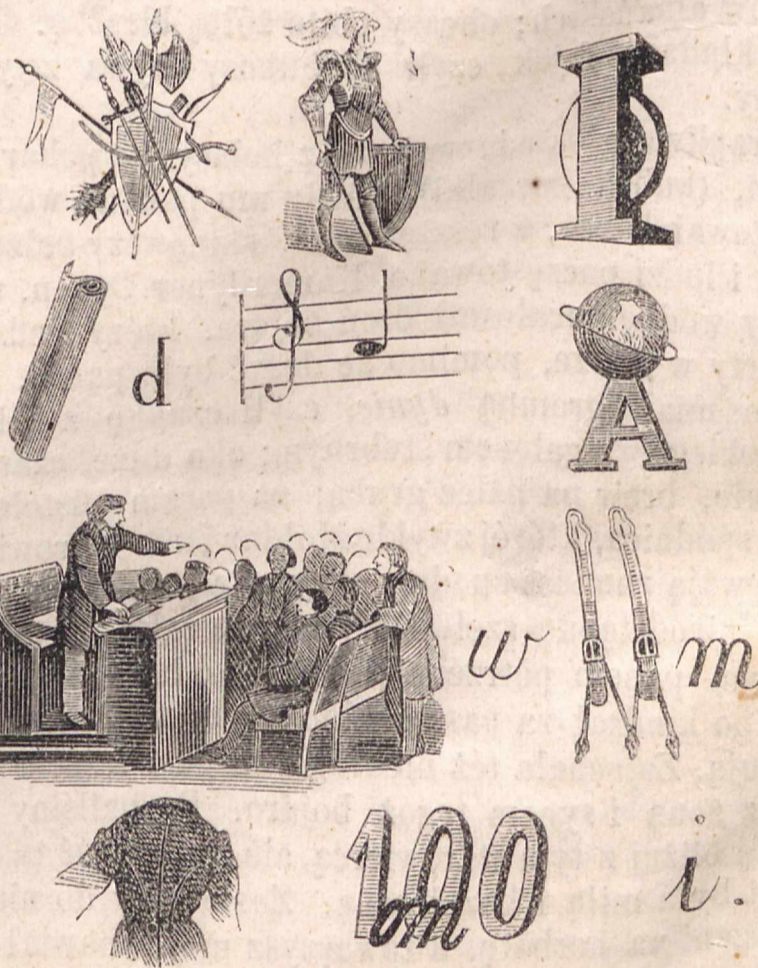
Czarne.

- |                              |                      |
|------------------------------|----------------------|
| 1) B 7 — E 7 . . . . .       | 1) B 6 — B 5         |
| 2) D 3 — F 4 . . . . .       | 2) E 5 — F 4 bierze. |
| 3) G 3 — F 4 bierze . . .    | 3) E 6 — E 5         |
| 3) F 4 — E 5 bierze † i mat. |                      |

Krakatica, jest to pajak morski, którego brzuch razem z łbem nie dochodzi ćwierci łokcia; nogi jego są długie, a pod brzuchem ma narzędzia ssące, za pomocą których, jak mówią, wysysa krew nawet z ludzi. Nie można go inaczej oderwać od ciała, jak krając go na kawałki. W morzu Czarném znajduje się ich mnóstwo, a w czasie tarcia się, chwytają ich Turcy i Arnauci za nogi i tłuką o kamienie, dopóki brzuch nie pęknie, poczem wyczyszczają z wnętrzości i suszą je na matach rozpostartych. Grecy i Mołdawianie uważają tego pajaka za wielki przysmak, lubo zapach jego jest odrażający. Gotują go w czarném winie mołdawskiem przez dwa dni, dopóki nie odstanie skóra; potem krają go podłużnie i jedzą z octem, oliwą i sałata.

Po wieczery bawiono się muzyką, a następnie rozpoczęła się gra w karty. Przyjaciół mój grał pieśni mołdawskie, a kiedy rozpoczął ulubioną pieśń „poeta karuca“, wszystkie kokonice otoczyły go kołem i zaśpiewały chórem, wdzięczne rzucając spojrzenia na polskiego wirtuoza. Gdy późno w noc odesłano nas do domu, towarzysz mój dał po dukacie służącemu i woźnicy. Dowiedzieliśmy się nazajutrz od guwernera, że kokon zawołał wracającego sługę i zapytał go: „Kiedy bakszysz“ (wieleś dostał) „Undukal“. Natenczas bojar obrócił się do żony i rzekł: „Bun artist, fonmor artist“, i od tego czasu stał się największym protektorem koncertu mego przyjaciela, który za bakszysz znaczne osiągnął korzyści. Między bojarami (a dzieje się to i u nas) lada drobnostką zaimponować można. I tak: mój towarzysz przy obiedzie, na który był proszony do ministra M., po ka-

## REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 47. Mahometanie li tylko w celu odwiedzenia grobu proroka podróżują do Mekki.

(Dodatek.)

tomnych dygnitarzach, którzy odtąd dla gościa tak dobrze wychowanego wielką okazywać zaczęli uwagę.

Lekarze zagraniczni w Jassach i Bukareszcie obfite dotąd miewali żniwo, i każdy prawie golibroda mógł tu uchodzić za lekarza. W całej jednak Mołdawii rzadko spotkać choroby piersiowe, choć krajowcy wiele palą tytoniu. Za to tém dokuczliwsze są inne cierpienia, powstające z wiecznego błota, kurzu, ukąszenia pajaków, skorpionów i t. p. Ogrodowy pajak zadaje często śmierć człowiekowi, domowy zaś sprawa okropną puchlingę; pierwszy tak bywa złośliwy, że rozdrażniony albo pięciem dotknięty skacze do człowieka. Dzieci mołdawskie dowcipnie umieją zabijać ogrodowego pajaka. Czatuja zwykle nad dziurami, gdzie się te pajaki chowają, z prętem w ręku, i jeśli który łeb wytknie, śmierć mu zadają; albo też podlewają go wodą, a pajak przelekniony wyskakuje z dziury i pada pod ich razami.

Najokropniejszą atoli plagą Mołdawii i Wołoszczyzny jest coroczny gość, szarańcza.

Na kilka mil czasem obwodu zbliża się czarna chmura, słońce zaciemniająca, z właściwym trzeszczącym szelestem. Uderzają wtenczas we wszystkie dzwony, strzelają z moździerzów i ręcznej broni, a jeśli takim sposobem nie odstraszą niszczycieli, jeśli upadną na ziemię, pokrywając nieraz na łokieć grubości zasiewy polne i zjadając wszystko z korzeniami nawet, wtenczas mieszkańcy kopią doły i zgarniają w nie szarańczę, paląc słomą i przyrzucając ziemią. Myriady tego straszego wroga i sprawcy głodu giną tym sposobem w Wołoszczyźnie i Mołdawii.

Byliśmy także świadkami jak srodze tu karzą złodzieja, a surowiej jeszcze podpalacza. Nieznośny huk tołombasów i ogromnych trąb mosiężnych zwrócił naszą uwagę. Tłum ludu, pełen krzyku i groźby, otaczał kata prowadzącego na stryczku złodzieja, któremu miano na miejscu popełnionej kradzieży odliczyć naznaczoną liczbę kijów. Złodziej cały obsyty był w grube czarne sukno. Na głowie miał skórzaną czapkę z przyprawionymi rogami, u których wisały mosiężne dzwonki. Urzędnik po oficersku ubrany, stanawszy na kadzi, donośnym głosem opowiadał ludowi o zbrodniach winowajcy, a groźby i przekleństwa z ust ludu przerywały tę mowę. Nareszcie odbyła się pierwsza bastonada. Złodziej pod gorącą łaźnią kijów wyzionął ducha, lecz kara podług wyroku na trupie dopełnioną została. Z większym jeszcze okrucieństwem Mołdawianie karzą podpalacza. Obnażają go po pas, smarują smołą, a pędząc przez ulice miasta, biczą tak, iż ciało odpada od kości. Z tego powodu zbrodnie, a zwłaszcza złodziejstwa, w księstwach naddunajskich rzadko się przytrafiają. W oberży zostawialiśmy nieraz drzwi otwarte, a jeśli czasem Izraelita jaki zajrzał do mieszkania i nie zastał nas w domu, uciekał jak oparzony; bo każdemu wolno tu obić złodzieja schwytanego na uczynku. Niemniej uwagi godnym jest stosunek starszeństwa w rodzinie, jaki u Mołdawian bywa przestrzegany. Starszy brat ma przewagę nad młodszymi; wychowywany też bywa zagranicą, głównie w Paryżu, podczas gdy młodsi nietylko pozostają nieukami w domu, ale w zaniebanym chodzą ubiorze. Jednego dnia wybraliśmy się z młodym Jerzym S. na polowanie. Kiedy młodszy brat przyniósł mu źle wyczyszczone dubeltówkę, ten w gniewie uderzył go kolbą w brzuch, a młodszy, lubo widocznie gwałt sobie zadawał, ucałował z pokorą dłoń brata i odszedł.

Mołdawianie nie lubią dzicyzny, dlatego też niesłychane mnóstwo dzikiego ptastwa tu się przechowuje. Nad Dunajem stadami chodzą czaple ogromne i pelikany, a tak są łagodne i nielekliwe, że widząc przejeżdżających stają i wyciągają szyje. Wilki tutaj są małe i słabe. Pies mołdawski czarny, ze spiczastym pyskiem, wązkiemi piersiami, tyłem szerokim, do barana podobny, z wściekłością rzuca się na wilka, piersiami go uderza i powala, potem chwytając za gardło i dusi. Bekasy dochodzą tu wielkości wrony i są bardzo tłuste.

Na uboczu drogi spostrzeżliśmy jakąś uroczystość ludową. Był to *skryncz*, zabawa wiejska. Dziewczeta i chłopcy, ująwszy się za ręce, przy muzyce cygańskiej odbywali poważny taniec mołdawski, polegający na kręceniu się koła w prawo i w lewo i podskokach po trawniku. Właściwie skrynczem nazywa się huśtawka, wprawiana w poruszenie przez Cyganów,

(Dodatek do Nru 48 Tyg. Illustr.)

na której mieszkańcy tutejsi, zapijając wino, po całych dniach się bawią. Często się zdarza, że Mołdawianin odurzony spadnie ze skryncza i karku nadkręci.

Powróciliśmy dosyć późno do domu ojca naszego towarzysza polowania, gdzieśmy zostali na wieczery. Tam poznałem zakonnicę mołdawską, czarno ubraną, z białym toczkiem na głowie, z którego spadała biała obłonka na ramiona. Skromna, pobożna ta siostra miłosierdzia nadzwyczaj była piękną. Kiedym przed szwagrem gospodarza chwalił jej wdzięki, ten mi powiedział: „jeśli się panu podoba, możesz się z nią ożenić; my pana wyswatamy, tylko przejść musisz na nasze wyznanie. Ona jest majątną.“ Z tych słów dowiedziałem się z zadziwieniem, że zakonnice mołdawskie mają wolność zawierania ślubów małżeńskich.

Nazajutrz, przechodząc ulicą, napotkaliśmy pogrzeb. Smętna to, rzewna i poważna uroczystość u Mołdawian. Kwiaty, ten obraz wiosny i pierwszych uczuć naszych, i tu ważną odgrywają rolę. Mołdawianin z kwiatami poczyna życia wątek, wkwiecistych wieńcach zawiera śluby małżeńskie, kwiatami uwieńczony kończy życia pielgrzymkę i z kwiatami chowają go w łono ziemi.

Orszak pogrzebowy był następujący: najprzód postępowała muzyka, wygrywając smutną melodię; potem niesiono wieko od trumny; dalej księża, naprzemian po muzyce śpiwając chórem; potem szli niosący zapalone świece w prawej, a laski z białymi chustkami w lewej ręce; następnie nieboszczyk w trumnie żółto malowanej, cały w bieli i kwiatkach, niesiony był nisko na pasach, ażeby każdy mógł go widzieć. Za nim cisnęli się płaczkowie, płatni jak niegdyś u Rzymian; nakoniec wdowa, dzieci i rodzina zmarłego, niosąc tapczany przykryte obrusami, na których były płacki, sól, mąka, séry, jaja i chleby przeznaczone dla ubogich. Ponieważ zwyczaj krajowy każe, żeby każdy przechodzący łączył się z orszakiem żalobnym, zastosowaliśmy się do tego. Przed kościołem postawiono umarłego, rozdano ubogim dary i ksiądz miał krótką przemowę. Rozdzierający serce był to widok, kiedy wdowa zaczęła całować zwłoki, i żalonym głosem nie już opowiadała, ale śpiewała płacząc wszystkie cnoty swojego małżonka; kiedy mu wymawiała dłaczego ją opuścił z dziećmi, przywołując na pamięć dni miłości i szczęścia małżeńskiego; kiedy ściskając trupa zaczęła go przepraszać za urazy, jakich się kiedy względem niego dopuściła za życia.

Naród rumuński, tak poetyczny i uczuciowy, żalodne zwykle nuci pieśni; lecz gdy nadejdzie chwila pociechy i wspólnej radości, wtedy tyle młodzieńczej swawoli, tyle dowcipu, igraszek wybuchnie na jaw z tego ludu, iż trudno się wyrwać z uścisków jego, trudno nie podzielić się jego szczęściem. Ale jak rzadkie są te chwile błogięj swobody, jak rzadkie szczęście wśród tego ludu od wieków gnębionego!

## PAN JACEK BRZUCHAŃSKI.

OPOWIADANIE JÓZEFA SZUJSKIEGO.

*Rzecz wzięta z Gigantomachii Kordeckiego.*

Pan Jacenty Brzuchański, mieszczan w Częstochowie, W siedemnastego wieku żył drugiej połowie, Podczas najazdu Szwedów. Był to człowiek stary, Pocziwy, organista od świętej Barbary Kościoła, co pod Jasną zbudowan był górą; Ale jak wielu ludzi pocziwych na świecie, Którzy na chwałę panu kolendy śpiewali, Byłby zginął, osłonił niepamięci chmurą, Gdyby nie ksiądz Kordecki. Jeśliście czytali Jego Gigantomachią, łatwo tam znajdziecie Nazwisko, które autor odgrzebuje ninie Dla tych, co nie są biegli w dziejach i łacinie, Czując niemały honor, że im rzecz przełoży, Którą zostawił w spadku wielki ten mąż Boży.

\* \* \*

Owóż Jacek Brzuchański był mieszczanem z rodu, Na usługach klasztornych wychowan od młodu W bojaźni Bożej, w cześci dla niebios Paniienki. Muzyk z dziada, pradziada klasztornej kapeli; Sześćdziesiątka mu szronem skroń poważną bieli, Ale krzepki i zdrowy, choć chudy i cienki, Jak to często sprzeczności są w rodowych mianach. Nikt lepiej w okolicy nie grał na organach,

Nie śpiewał i nie władał każdym instrumentem, Czy to rznęty, czy dęty, czy dęty, czy rznęty; A gdy w odpust klasztorną zarządzał muzyką, Niby hetman rycerskim dowodzący szykom, Gdy z chóru na organu uroczyście głosy Nizał pieśni pobożne,— to się pod niebiosy Przez kościelne sklepienia głos dobywał dźwięczny I grzmiał, jakby się z piersi rozchodził tysięcznej, Że aż człeku myśl w niebo wlatywała śmielęj, Bo nosiły ją tony, jak rajscy anieli.

Elokweneci miał wiele i bez preparacji Zawsze gotów był Jacek do każdej oracji, Na kolędę, mięso-pust, czy na alleluja; A kiedy się w koncepcie i swadzie rozbuja, To już drugiego w żadnej nie wynaléć stronie. Na łusi, czy na Żmudzi, w Litwie lub Koronie. Po łacinie, mawiano, umiał z używania Długiego i kościelne rad wzmocniał śpiewania Swym głosem, a pobożni łatwo rozpoznali Że śpiewał expedyte, jak księża śpiewali. Wielkie też zachowanie miał Jacek u świata: Ksiądz przeor go szanował i kochał jak brata, Chociaż go woła Boża w niskim stanie trzyma, Kochali zakonnicy i bracia mieszczanie; A gdy czas kolędowy przynosiła zima I Jacek w okolicę puścił się z opłatkiem, To szlachta wdzięcznym sercem przyjmie winszowanie, Ze czią podejmie starca, hojnym darzy datkiem I przychylnemi słowy poufnie odprawi, A on każdemu progę z serca błogostawi. A że i panu Bogu dobrze Jacek służy, Toć ma i dom zasobny, i dobytek duży, I ze żoną pocziwą cieszy się w wiek późny, Że już dziateczki wszystkie opatrył na świecie: Jednego w służbę przyjął koronny obożny, Drugi już organistą w cudownym klasztorze Wyreca ojca, trzeci na posługi Boże, Na proboszcza wiejskiego się wy dostał przecie; Tylko córeczka jedna, ulubione dziecicę, Jeszcze kwitnie przy starcu i lata mu słodzi, I około rodziców opiekunką chodzi.

\* \* \*

Aleć kto jeszcze żyje, ten niewolen troski, Zadekretował zdawna tak majestat Boski. Więc i na pana Jacka stareńkie już lata Przyszła boleść i sroga przyszła tarapata, Nie z domu i nie z dzieci, lecz z publicznej sprawy. Pan Bóg podniósł nad Polskę miecz zniszczenia krwa-

[wy,

I ziemia w krzyż upadła przed Panem-mścicielem, A każda dusza polska zdarła mir z weselem. Niedarmo nad stolicą Niebieskiej Paniienki Widma straszne, ogniste miotły i szablice Wzniosły się, nie nadarmo w wichrów nieba wrzeniu Dwa wojska napowietrzne toczyły bój dziki; Za niemi, jako piorun po błyskawic łnieniu, Heretyckiego ludu zjawily się szyki. Szwedzi! Szwedzi! głos straszny spłynął polskim ła- I odtąd groza kary jakoś na świat siadła, [nem, Że nie było wesela we wschodzie różanym, Na zachodzie się krwawo szyba słońca kładła, Strach Boży szumiał nocą w dzikim wichrów świcie, Jękiem bólu kwiliły po dąbrowach liście, Wyły psy, a na piersiach ludzi ciężar siadał, Że się żaden już więcej spokojnie nie składał, Jenó zrywał się ze snu i oczy zleknióne Otwarłszy, szeptał cicho: Pod twoję obronę.

\* \* \*

Szwedzi! Szwedzi! głos straszny coraz bliżej leci, O częstochowskie wieże bije w dźwięk miedzianny. Szlachta z okolic, niby do macierzy dzieci, Ciągnie w klasztor, pod pieczę Przenajświętszej Pan-Jadą ładowne wozy, z familją, z dobytkiem, [ny. A z nimi coraz nowe, coraz krwawsze wieści, Aż się klasztor stał wkrótce skarbnicą boleści: Jako król heretycki z swém rycerstwem brzydkiem Przyjęt' od Wielkopolan i uznan za króla, Z szlachtą olbrzymim krokiem przez kraj biędny su- A król prawy mu wszędzie ustępuje z pola. [nie, Wężem czerwonym łuna wiję się po łunie, Coraz dalej w głąb' kraju jak żmija się wżera. Wzięta Warszawa, Wieluń, Kraków oblężony I król podobno ziemię opuścił Korony. Niéma obrońcy: starcem już dzielny Rewera,

Wojsko odbiegło znaków i łączy się z wrogiem,  
Tylko Czarniecki jeszcze bram Krakowa broni;  
Ale nie walczyć jemu z zagniewanym Bogiem.  
Padł wyrok: siwy hetman z rozpaczem obliczem  
Szwedzkiej uległ potędze w bitwie pod Wojniczem,  
A na schyłku już Kraków stolica Polonji.

\* \* \*

W częstochowskim klasztorze słyhać szlachty lament,  
Dzień i noc przed obrazem cudownym Maryi  
Widać szlachtę w opończach i panów w delii,  
Jak się modlą, pokuty przyjmują Sakrament,  
Krzyżem leżą i coraz w obliczu żółcieją;  
Ale pośrodku poznasz i czoła z nadzieją,  
I na kordach oparte dłonie wojownicze.  
Pan Zamojski miał oto weselsze oblicze,  
Pan Czarniecki i Górski, a Kordecki w chórze  
W pośród przelekkich mnichów ma pogodne czoło,  
Podobne śnieżnej górze, co nad chmury wkoło  
Wystercza i nad dolin unosi się cienie,  
Jasna, patrząca znać w słońca promienie.

Pan Jacek przy organach, zółkły, chudy, blady,  
Mocno ciśnie klawisze, głos dobywa gromki,  
Grozę w czole, a w oku wrzących łez ma ślady;  
A gdy zaintonuje jaką pieśń z koronki,  
To jakby serca polał słonecznym promieniem,  
Tak każda jego nuta kwili pocieszeniem.  
A jak wieczorną dobą, przy modlitwie nocnej,  
Zahuczy: Święty Boże, nieśmiertelny, mocny!  
To się zatrząśnie kościół z odwiecznej posady  
I zda się że wrastają wysokie arkady  
Gdzieś w niebo, pieśnią straszną przebite jak klinem,  
Że zjawi się Panienska z ukochanym synem  
I dzierży go na krzyża olbrzymich ramionach,  
Aż ryk płaczu mu czoło blade ze snu zbudzi,  
I z krzyża wzniesie ramię błogosławiąc ludzi,  
Co w chwili kary w takich ozwali się tonach.

\* \* \*

I coraz jakoś ciesniej i duszniej w klasztorze:  
Widać że się zbliżają wielkie sądy Boże.  
Lampa, co przed obrazem cudownym migoce  
Nieustanna, sycona całe dnie i noce,  
Jak chrześcijańska modlitwa, wieczna błagalnica,  
Coraz na bledsze pada i smutniejsze lica.  
Tylko kiedy się w nocy wszyscy spać pokładają,  
Znużeni trudem, przeor przed obrazem klęka,  
A jego twarz jedynie ni smutną, ni bladą.  
W obraz topi się oko, z ręką schodzi ręka,  
Pierś mu nieznaną jakąś siłą przestrzenienie,  
A choć chwilę w krzyż padnie, łzami twarz zaleje,  
Choć go, znać, wagą całą krzyż pański przycisnie,  
Choć mu boleść się w duszy jak ptaszę rozkwili:  
To duch Boży go wzniesie i przez łyzy zabłyśnie  
I widać jakąś wielką pewnością posili,  
Że prawice dziękczynne, synowskie, natchnione  
W górę wzniesie, gdzie matka i niebios królowa  
W mgłę nocnej swoje lica opiekuńcze chowa,  
I pewnym idzie krokiem gotować obronę.

Tak-ci powitał przeor dzień szturm. Północą  
Szedł z kościoła ku celi bożą skrzepion mocą;  
Patrzy: aż się ku niemu ktoś cieniem pomyka,  
Pan Jacenty Brzuchański wita zakonnik  
Pocałowaniem w rękę, dzień dobrym. — „To Wasze?”  
— „Ja, przewielebny ojcze... Tak się tu modliłem  
W kacie i Przenajświętszej Panienski radziłem,  
Czy mam opuścić moje miastowe poddasze,  
Przenieść się do klasztoru, czy pozostać w mieście.”

— „A juźcić do klasztoru przenieść się nareszcie,  
Bo niebardzo tam pono na mieście bezpiecznie.  
Szwedzi za lada chwilę staną pod klasztorem,  
Nie myślę, aby byli dla miasta z faworem.”  
— „Tak ci jest. Ale duszę trza w pieczy mieć wieczną,  
Boskiej jeno, nie ludzkiej obawiać się kary.”  
— „Albo co?” — „Organistą u świętej Barbary  
Jestem od lat czterdziestu, a sumienie każe  
Abym wytrwał do końca przy świętej Barbarze.  
Chociaż kościół zamknięty i milczą organy,  
Ale wypadek może być nieprzewidziany:  
Kwarta u Szwedów, toć to katolicy sami,  
Gdzież pójda do kościoła? A między Szwedami  
Może się jaki znajdzie co jest naszej wiary;  
Więc im trzeba usłużyć u świętej Barbary.  
Albo kto, proszę, pójdzie z kolendą na święta?”

Jeszczeby bez opłatka byli niebożęta!  
A lud biedny, chudzina rozpierzchnięty w strachu,  
Toćby nie miał mieć nawet kościelnego dachu?  
Albo na cóż ja tutaj, ja staruch, usłużyć?  
A zdam się klasztorowi przy klasztornym murze,  
I Matka Boska w duszy cicho mi wyrzeka,  
Że za murem jój trzeba przychylnego człeka.”  
— „Aha! tutaj waś mierzysz! Otóż nie pozwolę!  
Stary jesteś i Szwedów ci nie wywieś w pole.  
Siwój głowy nie trzeba na szwank ryzykować.  
Weź żonę i z dobytkiem się na górę sprowadź!”

Ale pan Jacek księdz ujął za kolana,  
Mówiąc z płaczem: — „Jamé myślał że ksiądz przeor  
[lepij]

O mnie sądzi i jeszcze w duchu mnie pokrzepi.  
Modliłem się tu w kacie, a Najświętsza Panna,  
Co księdzu przeorowi bronić się kazała,  
W tej samej chwili Jacka do miasta wysłała.  
Widziałem jak promienie świętej łaski boże  
Padły na twe oblicze, wielebny przeorze;  
Ale i maleńkiego mnie wtedy dosięgły  
I wielkiego z maluczkiem w jednej sprawie sprzęgły,  
Aby z ofiarą możnych, dar maluczkiem razem  
Przed Prześwietej Panienski był złożon obrazem.  
Padłem w krzyż i w pokorze modliłem się długo,  
Czy mnie nie mam szatan kościelną usługą;  
Ależ zwątpienie z łzami się z duszy wylało,  
I wiem, że co mam zrobić, będzie z pańską chwałą.”

Tu pana Jacka lice dziwna jakaś łona  
Obłysła, — do przeora podniósł swe ramiona  
Błagalne i łez wielkich strumień uroczystry  
Spłynął marszczkami chudej twarzy organisty.  
A ksiądz przeor się modlił jeszcze czas niejaki,  
Spojrzał w twarz organistę, poznał boże znaki  
I wzruszony zawołał: „Idź, panie Jacenty!  
Widać to taka wola Panienski Prześwietej,  
Idź i służ razem ze mną dobrej naszej sprawie,  
A oto ja ci w drogę starcze błogosławię!”

Wtedy oknem kościelnym wszedł pierwszy świt rana,  
I z dłoni przeorowej i z oczu błyszczących  
Padł pęk promieni jasných i błogosławiących  
Na głowę starca, czołem schyloną ku ziemi;  
Hajnał ozwał się z wieży i dzwonów się szklana  
Nuta zmieszła z tony hajnału drżącemi;  
A razem odgłos trąby nadleciał wojskowej  
Groźny. Lecz nie zdrząły obu mężów głowy,  
Tylko szepnęli: „Szwedzi!” i na dwie się strony  
Rozeszli, — przeor srodki obmyślać obrony,  
A szybkim krokiem, choć był schylony i stary,  
Pan Jacek do kościoła u świętej Barbary.

\* \* \*

Błogosławione wieki, kiedy w nieszczęść gromie,  
W czerwonym słupie ognia, w krwi wylanym dymie,  
Bóg podnosił ramiona sądzące, olbrzymie  
I na ziemi obszary zlatywał widomie,  
Jako za czasów dawnych, kiedy prorok w Panu  
Lud boży przez pustynie wiodł do Kanaanu;  
Kiedy przed chwilą kary, Chrysta postać biała,  
Pielgrzymio idąc światem, do chat zapukała  
I grozą napełniała grzeszne serca ludzi;  
Kiedy anioł pokuty smutne dusze budzi,  
I wygrażając krwawą nad ich głowy zorzą,  
Każe im przebłagać sprawiedliwość bożą;  
Gdy niewidome słowa niebieskiego rządu,  
Słyszalne duchom ludzi jako trąby sądu,  
Wzlatywały postrachem przez pierś pokolenia  
I budziły w niej dzwony płaczące sumienia;  
Kiedy serca w ciemności pogrążone nocnej,  
Z przepaści rwą się w górę; — kiedy im Wszchemo-

[cny]

Nie odebrał anielskich skrzydeł zmartwychwstania,  
Lecz dozwolił ptakami bić w swoje mieszkania;  
Gdy na szali przeznaczeń maluczkiem zasługi  
Miecz kary na czas jeszcze przeważały długi;  
Kiedy natchniona dusza ramiony silnemi  
Mogła jedna powstrzymać upadek swój ziemi;  
Kiedy ludzie wierzyli w święte moce cudu  
I gdy w modlitwie losy spoczywały ludu!

Dziś inne czasy, inne są losów koleje:  
Miedziane niebo słoni wyższych rządów dzieje,  
I Pan, co szale rządu trzyma kędys w górze,  
Twarz miłosną nam ukrył w piorunowej chmurze;

A gdy smętnemi z krzyża popatrzy oczyma,  
Któż mu dostoi kroku, kto oka dotrzyma?  
Nikt! nikt! Jeno wśród dusznej odpadłych obawy  
Czujem że niewidzialny, sędzia ludzi prawy  
Wśród gmatwaniny życia berło rządu dzierży,  
I pojawi się kiedyś — groźny — cichy — łzawy,  
Ale nikt jego gniewu modłą nie usmierzy.

\* \* \*

Kędys w wieków obszarze znaleźć takie dzieje,  
Jako dzieje obrony Jasnój Częstochowy?  
Co w nich ręka niebiosów tak ci widocznie,  
Że w skrusze i pokorze musisz schylić głowy  
I jako dziecię małe złożyć ręce w skrusze,  
Jakby skrzydło anielskie musnęło twą duszę,  
Jak gdyby święta jasność krain za błękitem  
Uderzyła cię grozą i dziwnym zachwytem,  
Że boisz się odetchnąć, byś tém odetchnieniem  
Nie zmącił wiatrów, drżących cherubinów pieniem!  
Upadł kraj, król wygnany — aż do Tater szczytu  
Wieżą sztandary wroga w przestrzeniach błękitu,  
Filary państwa o ziem runęły stalowe:  
Pan Rewera na krésach siwą schylił głowę,  
Lanckorońskiego Wojnicz szablicę zgruchotał,  
Pan Lubomirski smutnym patrzy okiem z Spiża,  
Czarnieckiego w Siewierzu Szwed słowem obmotał.  
Jednego w całej Polsce nie było rycerza!  
Ale jako pan zbudza wyznawców z kamieni,  
Tak teraz w bohatera sługę swego zmieni,  
Hetmańską duszę kładzie pod mnicha habitem,  
A gdy żadna nadzieja Polsce nie promieni,  
To każe pod gwiazdzistym szukać jój błękitem!

\* \* \*

Odkąd cudowny klasztor Szwedzi otoczyli,  
Pan Jacek już spokojnej nie miał w życiu chwili,  
A chociaż, dzięki kwarcie co w miasteczku stała,  
I dom jego w całości i chudoba cała,  
Nie usiedzieć mu więcej ni oka nie zmrużyć:  
Na nowym posterunku chciał Maryi służyć.  
Jako czajka, co z gniazda od dziatki spędzona,  
Unosi się nad niemi kwiląca, strapiona,  
Tak pan Jacek oblata z wyciągniętą szyją  
Klasztor, choć nawałnice z dział obustron biją,  
Chociaż trzęsie się ziemia, a w bojowym dymie  
Nikną kształty klasztoru wysokie, olbrzymie.  
Widać go, jak przy wale pochylony bokiem,  
Kłęcząc, bieg szturm śledzi niespokojnym okiem,  
Modli się i po cichu wtórzy pieśniom w górze,  
Co z wieżycy kościelnej, gdzieś w dymowej chmurze  
Lecą nakształt anielskich zastępów błyszczących,  
Błogosławiąc poległych i krzepiąc walczących,  
A Szwedów dziwną jakąś napełniając trwogą.  
Lecz kiedy szturm przycichnie, wróg odstąpi błądy,  
To pan Jacenty nocą wylata na zwiady:  
Jaka tam strata wrogów, czy stracili kogo  
Ze znacznych, czemu dalej do szturm nie gonią,  
Czy wysłali trębacza i robią układy,  
Czy się zakonnicy oje do poddania kłonią.  
Aż nazbięrawszy wieści, wraca do dom zeicha  
I do przelekkiej żony tylko się uśmiecha,  
Wesół, ruchawy; papier i inkaust bierze  
I tajemnicze słowa pisze na papierze,  
A potem znowu idzie do klasztoru drogą.  
Żona modli się za nim, bo go złapać mogą;  
Ale on wraca zawsze spokojnie i cało,  
A wtedy snu użyje, aby skrzepić ciało.

On to, kiedy pan Miller bombardy z Krakowa  
Sprowadził, by tém prędzej legła Częstochowa,  
Doniósł ojcom, spotkawszy je piérwej niż Szwedzi;  
On, nim-li szturm rozpoczną, zakonnych uprzedzi,  
Wypuszczając gołębia z domu, co w klasztorze  
Ułaskawion, z przeora ręki jadał zboże;  
On, gdy siostrzan Millera zabit był w namiecie,  
Doniósł o karze bożej, co kaczerzy miecie;  
On przeprowadził fossą i pana miecznika,  
Gdy poszedł na wycieczkę z tłumem ochotnika,  
A z rycerstwem dobranym i sam człowiek tegi,  
Zmącił obóz, pamiętne wyliczył im cięgi;  
On doniósł, że król Kaźmirz wyjechał z Opawy,  
I Marji Pannie, jako był katolik prawy,  
Oddał w opiekę Polskę solennemi słuby,  
Aby swoje Koronę chronił od zguby.

\* \* \*

Dwa miesiące Szwed klasztor już obleżon trzyma

I strach do murów patrzy blademi oczyma.  
Męztwo upada o ziem, zakonnicy sami  
Smutnie patrzą w pogodne przeora oblicze:  
Sprzykrzyły się spokojnym harce wojownicze.  
„A nuż heretyk rzezią święte miejsce splami,  
Nuż zburzy piękny kościół i skarb, który dziady  
Pokoleniami Marji składały w ofierze,  
Na niecnym swoich rozpust podsytę zabierze?  
Trzeba było od razu przyjmować układy.“  
A chociaż Marja Panna liczne cuda działa,  
Biędni ludzie tak słabe przecie mają ciała,  
Że im ręką żelazną bojaźń i cud zetrze,  
Choćby zastępy niebios nadleciały w wietrze.  
Dwóch jeno ludzi zawsze spokojnie i śmieie  
Idą na służbę Marji, jakby na wesele;  
Znać więcęć im odsłonił Pan jaśni niebiański:  
Był to przeor Kordecki i Jacek Brzuchański.

Zima.— Śniegi zaległy równiny dokoła,  
Dzwon z wieży głuchym dźwiękiem na mszę wier-  
nych woła;

Nie widać słońca, zamieć kryje je grudniowa;  
W białej szacie stanęła Jasna Częstochowa  
I patrzy jak po równiach szlakami czarnymi  
Szwedzi zajęli połę widokregu ziemi.  
Trzy dni nie wypuścili ni jednego strzału,  
Tylko się śniegiem kopią ostrożnie, pomału,  
Oslonięci zawieją, okryci tumany,  
Podsadzają bombardy, stawiają tarany,  
I norami jak lisy kopią się pod wały.  
Złe duchy na obronę w mglisto ich odziały,  
Lecz i tak nocą ogni nie śmieją zapalić,  
Aby się przed przeorem z pracą nie pochwalić;  
Ale w złowrogięć ciszy, bezecne stworzenia  
Szturm gotują na dzień sam Bożego wcielenia.

Wilia — dzień przesłiczny, sławny w zbożnym kraju,  
Wilia, obchodzona po dawnym zwyczaju  
Miłośnie i wesoło. Pan Jezus się rodzi,  
Zbawienie świata puka do każdego proga,  
Wszyscy ludzie zrównani w obliczności Boga!  
Więc gospodarz po swoich domownikach chodzi,  
Od żony aż do swego najlichszego sługi:  
„Szczęście wszystkim i zdrowie — a i żywot długi.“  
Dziatki igrają głośno przy ciepłym kominie,  
Wieczera, zastawiona o gwieździe na sianie,  
Garnie do siebie wszystkich, kogo w domu stanie;  
Anioł błogosławieństwa na cały dom płynie  
I na rok cały dawa spokoju i ciszy,  
Boć nawet i zwierzęta, jako lud tośkaszcy,  
I belki, które wiążą dach chaty słomiany,  
I sprzęty i świadome dziejów domu ściany  
Wtedy rozhówór cichy ze sobą zawodzą,  
A na polu pod śniegiem kielki oziminy  
Szepcą ludziom, czy plonu im wiele urodzą.  
Do dwunastęć tak wszystko wyczeka godziny  
W weselu, aże dzwonek na mszę zadziendzieli,  
A: „Chwała Panu w niebie, spokój dobrej woli  
Ludziom“ z dzwonkiem na wieży zanucą anieli.  
Wtedy drogą od dworu i miedzami roli  
Lud Boży do kościoła sunie uroczyście:  
W kościele jasno, cicho, przez cmentarza liście  
Wiatr szumi, jakby duszki pod śniegiem grzebione  
Pacierz za żyjącymi szeptały stęsknione.  
Książdz wyszedł — tu się spisać panu organicie,  
Huczna kolędą Pana powitać nad Pany,  
Jak zawitał w Betleem w stajence słomianej  
I w żłobku się z rączkami podniósł otwartemi,  
Aby przygarnąć wielkich i małych tój ziemi.  
Ale w roku sześćsetnym pięćdziesiątym piątym,  
Smutna wilia była w strapionęć Polonji:  
Głowa żadna domowym nie cieszy się kątem,  
Ani na mszę pasterską dziad kościelny dzwoni,  
Ani ludzie nie idą do kościoła miedzą,  
Ani w dworach igrają dziecięćta przy stole,  
Ani plonu nadzieją nie poszepta pole.  
W ukryciu gdzieś po lasach biędne chłopki siedzą,  
Przy ognisku zmarznięćte ogrzewają członki,  
Głodne dziecięćta tulą się w rańtuchy matek,  
Rzadki dwór niespalony, gdzieby dym gościnnny  
Pod niebem się w bieluchne układał koronki.  
Wilia cicha, smutna, nie igra rój dziećtek;  
Pan, z czeladzią się łamiąc, z wilgnemi oczyma  
Opłatek w drżąceć ręce jakoś dłużej trzyma  
I iza tajemnych życzeń pokropi pobożnie.  
Wszystkich cudownie zbliża nieszczęście do siebie:  
Córki około matki, co chora obłożnie,

Kłęcząc, modlitwą Ojca błagają na niebie;  
Syn milcząc spogląda na zbroje po ścianie  
I duma, rychło w szyku gdzie pancernym stanie;  
Siwy dziad schylił głowę nad węgrzyna czarą  
I zadumał się wielce, aż źrenicą starą  
Dwie łzy mu wypłynęły, mieszając się z winem;  
A gdy północ wybiły z turkawką zégary,  
A spustoszony kościół na mszę nie zawzywa,  
Pokłęknono dokoła: ojciec, syn i córy,  
A nad niemi się wzniosła głowa starca siwa,  
Aż weselsi powstali i z za ciemnej chmury  
Oknem dworu się błękit pokazał gwieździsty,  
Niby Maryi Panny welon przezroczystry,  
I dzwon się ozwał zdala — wesoły — godowy,  
A dziad szepnął: To na mszę dzwonią w Częstochowy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

#### DOPEŁNIENIE WSPOMNIENIA O FLORYANIE BOCHWICU.

W Nrze 42 Tygodnika Ilustrowanego czytaliśmy piękny rys życia ś. p. Bochwica; lecz kto by chciał głębieć studyować jego zawód filozoficzno-religijny i wszechstronnie ocenić dzieło: *Obraz myśli mojej*, powinienby odczytać także uwagi nad tēć dziełem skreślone przez ś. p. Józefa Chwaliboga, aby porównać zdania, w których nie zgadza się ten pobożny pielgrzym jerozolimski, z filozofem puszcza polsko-litewskich. Piérwszy w uwagach swoich tak przemawia: „Z radością zapewne należy witać dzieło p. Bochwica; lecz jakkolwiek uważamy je jako owoc najgorliwszych badań i serca prawdą wiary przejętego, które tego błogiego przekonania swego pragnęłoby wszystkim udzielić, i jakkolwiek oddajemy zupełną sprawiedliwość najlepszym jego chęćciom, nie możemy jednak zamilczēć niektórych uwag naszych, nietylko w czēćm jego zdania nie dzielimy, ale szczególnieć w tēćm, co spostrzegamy iż jest wypadkiem mylnego lub jednostronnego uważania rzeczy, a tak skrzywia tēć główną prawdę, ku której szanowny autor Obrazu myśli swojej sam zmierza.“

Dalēć pisze Chwalibóg: „Uważając jak rozległym i głębokim jest przestwór badań filozoficznych, a przytēćm iż badania czynione nad istotą i przeznaczeniem człowieka, a tēćm samēćm nad jego stosunkami ku wieczności i Bogu, wchodząc z istoty swęćj w obręćb prawd objawionęćj wiary, w uwagach i zacięćkaniach się filozoficznych rozumu nad takim przedmiotem, z wielką ostrożnością i ściśłēćm baczeniem, szczególnieć nam świećckim postępować sobie należy. Z pewną przeto nieśmiałością przystęćpuję do tych uwag. Lecz jak z jednęćj strony, co do trudności przedmiotu, uwagi te w każdym razie posłużyć mogą do coraz dalszego widzenia i rozjaśnienia rzeczy; tak z drugięćj strony, trzymając się tych prawd, które niosą światło tam, gdzie niedołęćzny nasz rozum sam przez siebie w ciemnościach tyłkoby się błąkał, gdy spostrzeżenia nasze i wnioski tymże samym prawdom odpowiedniami się stają, z ufnością zdanie nasze wyjawiać możemy.“

Dalēć przystęćpuje krytyk do rozbiórki niektórych zasad, zdań lub twierdzeń Bochwica, cytując jego słowa i odpięćrajac je gruntownymi i logicznymi, na głęćbokięćj wierze opartymi dowodami. Wyżēćj oświecona publiczność zna Józefa Chwaliboga z pielgrzymki ks. arcybiskupa Hołowińskiego, który w tomie III poświęćcił cały rozdział pamięćci swego przyjacięćla. Musiał to być niepospolitych cnót człowiećk, gdy spowiednik jego u grobu Zbawicięćla poznał tajniki złotoćgo serca i w opisie Jeruzalemu skreślil o nim tak zaszczytne i rzewne wspomnienie. Kto by bliżēćj rad poznał wzorową jego doczesną pielgrzymkę i chciał wtajemniczyć się w szczegóły życia pełnego niezwykłych boleści i umartwień, tudziećż bohaterkiego znoszenia dopuszczonych nań dolegliwości, niechaj odczyta książkę pod tytułem: *Pisma Józefa Chwaliboga, z opisem żywota jego, przez Prospera Chwaliboga*. Lwów 1849. Tam znajdują się uwagi nad dziełem: *Obraz myśli* Bochwica.

Spodziewamy się, że redakcyja Tygodnika Ilustrowanego umieści ten dodatek, uzupełniający wiadomość o Bochwicu i jego dziele, aby ludzie specyjalni, pracujący na tēćj niwie najwnioślećjszych pojęć człowieka i najżywoćtniećjszych poglądów jego rozumu — porównali i zastosowali pomysły obu głęćbokich myślicielei.

P. Ch.

#### NOWA ZNAJOMOŚĆ.

Stalećm, dumki snuły się po czole  
Lekko, jako w jesiećń pajęćczyna,  
Mgły owiały w dali szare pole,  
Bo zachodu minęła godzina.  
Tylko niebo od zorzy rumiane,  
Zdało mi się jak ja zadumaćne.

Bo są w życiu chwile świętećj ciszy,  
Że się dusza w przyrodzie odbija:  
W szumie borów swojęć myśl usłyszcy,  
Jęćj marzeniem rozkwitnie lilja,  
Niebo spłonie: ale to się dziećcie,  
Gdy duch kocha, cierpi, ma nadzieję.

Długom błądził po gwiazdach oczyma,  
Po bezdennęćj, niebieskiećj krainie.  
Tak przez morza błądzi wzrok pielgrzymia  
Z brzegu, zanim statkiem na nie wpłynie,  
Nim zostawi ziemię, ojców domy....  
Tam za morzem, tam kraj nieznanomy.

I zbliżyła się do mnie dziewica  
Biała, w bieli, z zadumanym wzrokiem,  
Jako posąg grecki miała lica,  
Szła poważnie, w milczeniu głęćbokiēćm...  
Nim z podziwu wyszła dusza moja,  
Ona rzekła słodko: „Jam śmiećręć twoja.

„Lewą dłońią serce uspięć twoje,  
Jako matka usypia dziećcięć,  
Prawą oczu przysłonięć ci dwoje,  
Skrzydła duszy wolno ci rozwinęć.  
I ulecisz, swobodny jak promiećń  
W światło, w ciszę wieczną, rowy płomiećń.“

„Niegdyś, rzekłem, niegdys mi wróćzono,  
Że mą duszę weźmiesz z pola chwały;  
Jeszcze nieba gromami nie płoną....  
Jeszczećm nie twój, piękny cieniu biały!  
Tam na pola przyjdź, tam o mnie spytaj,  
Teraz — nowa znajoma mi witaj!“

Stała milcząc, a nad nami w górze  
Z za obłoku księćzyc się wyłonił,  
Do pół skronią oparty na chmurze,  
Na tēć białą lzy promienne ronił,  
Na jęćj uśmiech senny, na spojrzećnia...  
I odeszła, mówiaćc: — Do widzenia!

Miecz. Romanowski.



J. Ks. Inf. K. Żalujemy najmocniećj; że opisu historycznego kościoła w Łasku, dla zbyćtniećj jego obszerności, drukować nie możemy. Najwłaściwsze miejsce dla szacownęćj tēćj pracy byłoby w Pamięćniku religijno-moralnym.

P. Ant. Dr. w Krasnymstawie. Nadesłany artykuł, z pewnemi zmianami, ogłosimy w czasie późniećjszym. Prosimy tylko o cierpliwość, jeśli to nie nastąpi tak przedko, bo drzeworytów improwizować niepodobna, a nawał materyałów mamy wielki.

P. S. R. w Chojn.

Do muz przybyćtku otwarta brama,  
Lecz nie każdemu śpiećwać Adama.

P. E. F. w Prussach. Rysunki odebraliśmy i szęćczerze za nie dziećkujemy. Jeśli okoliczności pozwolą, zrobimy z nich użytek. Wnęćtrze chaty w robocie; Żytomierz, jako nadzwyczaj mozolny w wykonaniu, zmuszeni jestećmy odłożyć na późniećj. Polecamy się dalszećj pamięćci.

P. N. Kr. w Antonówce. Plan pisma naszego nie pozwala nam umieszczać prac nie mających zwiąćzku z rzeczami polskimi, lub przynajmniej słowiańskimi.

P. Stefanowi z Opatówka najserdeczniećjsze podzięćkowanie za rzecz wyborną o „Żurawiu mogilnym.“ Wkróćteć spoćtkasz się Pan z nią w kolumnach Tygodnika.

## DONIESIENIA.

Nakładem Księgarni Polskiej

przy ulicy Miodowej nr 482,

wyszedł zeszyt drugi dzieła:

## HETMANI POLSCY

Koronni i W. X. Litewskiego. Wizerunki zebrane i rysowane przez Wojciecha Gersona, objaśnione tekstem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. Zeszyt ten obejmuje portrety i biografie:

a) Wacława Rzewuskiego (herbu Krzywda).  
b) Stanisława Denhoffa (herbu Swego).  
c) Stanisława Żółkiewskiego (herbu Lubicz).

Obecnie prenumerata ogłasza się na 16 zeszytów. **Cena** zeszytu mieszczącego trzy wizerunki z tekstem obszernym polskim i krótkim francuskim, jest rs. 1 kop. 50. **Przedpłata** pierwsza wynosi rs. 3, która policzona będzie przy ostatnich zeszytach.

**Na prownicy** prenumerata uiszczać się będzie w **czterech ratach**: dwie pierwsze po rs. 5, dwie ostatnie po rs. 7. Pierwsza rata ma być z góry zapłaconą; druga przy odbiorze czwartego zeszytu; trzecia przy odebraniu ósmego zeszytu; czwarta czyli ostatnia, przy odebraniu dwunastego zeszytu.

**Dla wnoszących całkowitą przedpłatę z góry**, oznacza się cenę wszystkich 16tu zeszytów na rs. 20, z przesyłką bezpłatną. **Po wyjściu** 16tu zeszytów, cena niezawodnie podwyższoną zostanie na rs. 25.

Galerya Hetmanów stanowi dalszy ciąg Albumu królów. Herby i podobizny podpisów (facsimilia), przy każdym wizerunku są i będą nadal domieszczone. Rachując na wsparcie rodaków, bez którego nie wykonać nie podobna, przyrzekamy z naszej strony dołożyć wszelkich możebnych starań, ażeby wychodzące dzieło, pod względem artystycznym, jako też i historycznym odpowiedziało oczekiwaniom szanownej publiczności, dla której niech będzie rekojmią naszej słowności **sumienne wywiązanie się nasze z wydawnictwa Galeryi Królów Polskich.**

A. Dzwonkowski i spółka.

NB. Wizerunki Hetmanów wychodzić będą nie koniecznie porządkiem chronologicznym, ale w miarę zebrania portretów autentycznych; w końcu jednak dzieła zupełnie się skompletują i przez dołączenie spisu chronologicznego uporządkują.

Dołączonym również będzie **wykaz materiałów**, użytych przez p. Gersona do narysowania wizerunków.

Drugi poszyt dzieła pod tytułem:

## Nauka praktyczna języka francuzkiego

opuści wkrótce prasę. Zapisać i nabyć go można łącznie z pierwszym poszytem, we wszystkich urzędach i stacyach pocztowych, po cenie 37 kop., a w Warszawie po kop. 30 za poszyt, z 10 rycinami. W rozwinięciu tej metody, wydane będą wkrótce konjugacje, czyli czasowniki całych zdań przez wszystkie możebne zmiany, w których z 5 słów (verbes) ułożone są więcej 600 zdań. Sposób najskuteczniejszy oznajmienia się ze składnią i nabycia łatwości do prędkiego mówienia po francuzku.

Z dniem 1m sierpnia r. b otwarte zostało w Żytomierzu pod firmą:

## BOLESŁAW ŁOZIŃSKI i Comp.

BIURO KOMISOWO-INFORMACYJNE,

poświęcić się mając wszelkim interesom w stosunkach handlowych pośrednictwa wymagającym. Głównie biuro to podejmuje się sprzedazy i zakupu zboża, wlny, materiałów leśnych i wszelkich produktów rolnictwa i przemysłu, przesyłki ich, zamówienia machin, narzędzi rolniczych i nasion w gospodarstwie potrzebnych. Przyjmuje oraz wszelkie w komis sobie powierzone wyroby fabryk Cesarstwa i Królestwa, zajmując się ich umieszczeniem za pośrednictwem z interesantami umową. Dostarcza wiadomości i prawnych papierów dotyczących kupna i sprzedazy dóbr w Cesarstwie, oraz wszelkich potrzebnych informacji z gubernji Kijowskiej, Wołyńskiej i Podolskiej. Brak podobnego domu ułatwiającego stosunki handlowe Cesarstwa z Królestwem i krajami zachodnimi, mocno się czuć dawał, a wszelkie usiłowania uczynione będą, aby jak najściślej zobowiązaniom się i potrzebie ogólnej, odpowiedzieć.

Adres: **Bolesław Łoziński i comp.** w Żytomierzu w domu własnym.

Szczegółowej informacji zasięgnąć można w biurze W. Leopolda Kronenberga w Warszawie.

W tych czasach otworzoną została w mieście Berdyczewie

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH

## S. H. MERZBACHA

z Warszawy w domu Dr. Trachtenberga.

Czyniąc zadość licznym żądanom publiczności z Wołynia, Podola i Ukrainy, **księgarnia S. H. Merzbacha**, urządziła w mieście Berdyczewie obszerną filiją, w której mieszczą się wszelkie objawy literatury, tak krajowej jak i zagranicznej, oraz obszerny skład nut muzycznych. Dobór, jaki ta księgarnia zrobiła, odpowiedzieć może najrozlicniejszym wymaganiom ogółu. Ceny są umiarkowane, warszawskie; usługa prędką i akuratną. Każdy też przekonasz się może nacożnie, czy listownie do niej adresując się do Berdyczewa, o ile pomieniona księgarnia starała się ułatwić w tamiecznych stronach nabycie ksiąg lub nut muzycznych. Księgarnia S. H. Merzbacha urządziwszy na próbę filję swoją w Berdyczewie na takiej stopie, śmie tuzyczyć, że światła publiczność Wołynia, Podola, Ukrainy i stron innych, zaszczycają swemi potrzebami, tém samem zachęci do stałego przebywania w pomienionem mieście.

S. H. Merzbach z Warszawy.

Nakładem Karola BERNSTEJNA, przy ulicy Miodowej nr 6, wyszła:

## NOWA SZKOŁA NA FORTEPIAN,

teoretyczno-praktyczna, zastosowana podług najcenniejszych autorów i własnymi postrzeżeniami pomnożona przez Romualda Zientarskiego, autora muzyki kościelnej. Nie wątpiąc, że wartość jej wewnętrzna uzyska pochlebne uznanie osób kompetentnych i publiczności, nadmienić nam tylko wypada, że szkoła ta odbita została w znanej sztycharni A. Dzwonkowskiego i w niczem nie ustępuje podobnym wydaniom zagranicznym. Cena egzemplarza rs. 2 kop. 25; osoby z prowincji życzące otrzymać szkołę pocztą, raczą nadesłać do księgarni wydawcy rs. 2 kop. 50.

Dzieło pod tytułem: **Paschalia chrześcijańska**, to jest o kalendarzach chrześcijańskich i obrachowaniu dnia wielkanocnego, ułożył ks. Deodat Smolenc. Cena rs. 2; jest na składzie głównym w księgarni Henryka Natansonona w Warszawie, przy ulicy Krakowskiej-Przedmieście nr 17. Znajduje się także w innych znaczniejszych księgarniach Warszawskich, jak również i na prowincji, tudzież za granicą w Poznaniu, Krakowie, Lwowie, w Cesarstwie w Żytomierzu, Kijowie i Wilnie.

## KSIĘGARNIA

## HENRYKA NATANSONA

przy ulicy Krakowskiej-Przedmieście, w pałacu JW. Hr. Stanisława Potockiego Nr. 17,

wprost kościoła ks. Karmelitów,

otrzymała na skład główny następujące nowe dzieła:

Bajki Kryłowa przełożył A. J. Gliński, poczet pierwszy, 16ka Wilno 1860 cena kop. 40; Hypoteka szczęścia małżeńskiego, studyum 1sze Cześnikiewicza, 16ka, Warszawa 1860, kop. 50; Paschalia Chrześcijańska to jest o kalendarzach chrześcijańskich i obrachowaniu dnia wielkanocnego ułożył ks. Deodat Smolenc, 8ka, Warszawa 1860, rs. 2; Pomysł do wiedzy dziejów życia świata, napisał Adam Chalupczyński, 8ka, Warszawa 1860, rs. 1 kop. 30; Pielgrzymka Czajda Herolda, poema Lorda Bajrona zpoliszczone przez Wiktora z Baworowa, kop. 67 1/2; Diurnum Julia ritum sacri ordinis praedicatorum, Mechlinia, rs. 1 kop. 20; Kazania na uroczystości świętych Pańskich w ciągu roku przypadające, Warszawa 1860, kop. 90. Determination des efforts auxquels sont soumis les croissons et les parois pleines verticales dans les poutres des pont du système Américain, par Chrzanowski, capitaine du corps des ingénieurs des voies des communication, 18ka Varsovie 1860, kop. 60; których to dzieł można również nabyć w innych księgarniach tak warszawskich jak i na prowincji.

Część Isza dzieła wydanego przez inżyniera Sporny pod tytułem:

## HYDRAULIKA AGRONOMICZNA

obejmująca kwestyę **drenowania**, wyszła w tych dniach z druku, a prenumerujący mogą

takową odebrać w składzie głównym w księgarni Gebethnera lub w mieszkaniu wydawcy ulica Elekoralna nr 778 (43).

## DRENY

maszynowe, z wybornego materyalu, rozmaitego gatunku, z kapsłami i bez nich, tyle praktyczne do obsuszania łąk i piwnic, w znacznej ilości przygotowała fabryka pieców **MIKOŁAJA WINNICIEGO** na Solcu pod nrem 2914a.

DLA MIESZKAŃCÓW LETNICH MIESZKAN

Znane od lat tylu

## WOZY MEBLOWE

jako najdogodniejsze do przewozu mebli, luster, fortepianów i t. p. sprzętów, wynajmują się w fabryce pieców Winnickiego, na Solcu nr 2914a lub też w handlu materiałów piśmiennych Tytza przy ulicy Miodowej, w prost Sądu Apellacyjnego.

## PORTRET

ś. p.

## LEONA HRABI ŁUBIEŃSKIEGO

wyszedł na widok publiczny przez M. Fajans, litografowany z obrazu Cosreu Dusi, i jest do nabycia po rsr. 1 w zakładzie artystyczno litograficznym przy ulicy Długiej nr 550 i we wszystkich księgarniach krajowych.

## PAMIĘTNIK

TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

Serya III. Tom. II.

Poszyt II.—Miesiąc Sierpień

zawiera:

I. O przechyleniu macicy ku tyłowi w czasie ciąży, przez Dra Gliszczyńskiego (dokończenie) 75. II. O epidemiach cholerycznych w Płocku, przez Dra Wł. Tyrchowskiego (ciąg dalszy) 79. I. Sprawozdania szpitalne: Szpitala Staroz. w Warszawie w kwartale I. 1860 r., przez Dra Rosenthal naczelnego lekarza 103. Postrzeżenia p. Chwat w oddziale chirurgicznym 109. Sprawozdanie z czynności lekarsko-chirurgicznych w szpitalu Dzieciątka Jezus w tymże kwartale, przez naczelnego lekarza Dra Lebruna II. Postrzeżenia kliniczne: Poród dziecka nieżywego przy znacznem zwężeniu miednicy, przez Dra Gliszczyńskiego 113; Posiedzenie 12te dnia 19 czerwca 1860 r. 117; — 13te — 3 lipca — 123; — 14te — 17 lipca (przytem drzeworyt). 123; III. Część urzędowa. Zasady farmakopei szpitalnej 129.

## BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

za sierpień

wyszła z druku i zawiera;

Dyaryusz bytności N. Króla Imci Stanisława Augusta w Pińsku i w Krystynowie, w m. Szeptemrze, 1784. Król Lir, tragedia W. Szekspira, przekład J. Paszkowskiego. Przeszłość i terażniejszość ortografii polskiej, ocenione ze stanowiska zasad wymowy, p. A. Kudasiwicz (c. d.) Literatura angielska, p. J. Paszkowskiego. Kronika Paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Kilka uwag nad art. P. Mathiasa Rosen, O lichwie i kredycie, p. A. Morzyckiego. Pożary na kopalniach, a przedewszystkiem na kopalniach węglowych w Królestwie Polskiem P. Hier. Łabeckiego (z ryciną). Poezja Gertruda. (Legenda Norwęgiska) p. F. S. D. Kronika literacka. Rozmaitości. Włodawa i Różanka, p. A. Wieniarzkiego. Korespondencje. Do Redakcyi Biblijoteki Warszawskiej od Fry: Hr. Skarbka. Z Galicji. Kronika Bibliograficzna. Wiadomości literackie. Dostrzeżenia meteorologiczne za m. Czerwiec.

## HEBLARNIE

do zapalek, oraz wszelkiego rodzaju maszyn pomocniczych do wyrobu tychże, poleca szanownej publiczności.

G. Sebold,

FABRYKANT MACHIN

Durlach pod Karlsruh.

(w Baden).

ZAKŁADY TECHNICZNE

## LUDWIKA SPIESS

Stad Główny w Warszawie,

ulica Senatorska Nr. 464/5, obok kościołka PP. Kanoniczek,

zaopatrzony został przy odpowiedniej porze roku

W PATENTOWANE

LAKIERY

FARBY OLEJNE

TARTE

we wszystkich kolorach i najlepszym gatunkach. FARBY te, jak również i LAKIERY, są przyrządzone wprost do użytku, tak, iż każdy najmniej nawet obeznany z sztuką malarską, może ich używać; i dla tego szczególnie zastosować się dają do robót dla osób zamieszkałych na prowincji, gdzie większa trudność w dokładnym przyrządzeniu takowych przedmiotów.

NB. Sposób użycia jest na każdym naczyniu wydrukowany, a flaszki opatrzone są pieczęcią i etykietą zakładu.

## „Grand hôtel de belle Vue“

w mieście Bonn n. Renem

przy samym brzegu Renu, w bliskości kolei żelaznej i przystani statków parowych, poleca się wspaniałem i nader zdrowem położeniem swoim, czarującym widokiem na góry i nadreńską okolicę, zarazem eleganckim urządzeniem wszelkich wygod i wzorową usługą przy umiarkowanych cenach.

Bonn w maju 1860 r. N. Stamm, wdowa.

## SKŁAD GŁÓWNY

FARB I LAKIERÓW

## J. A. KRAUSSE

ulica Miodowa Nr. 484, wprost Rządu Gubernjalnego, poleca PP. Artystom i Amatorom malarstwa,

## PŁUTNO OLEJNE DREZDEŃSKIE

różnych wymiarów,

**FARBY OLEJNE drezdeńskie** w rurkach, **ANGIELSKIE i PARYZKIE FARBY** miniaturowe w różnych kolorach i wyborowych gatunkach, w pudełkach różnej wielkości.

## PĘDZLE LYOŃSKIE I BERLIŃSKIE

do wszelkiego rodzaju malarstwa w rozlicznych gatunkach.

Różnej wielkości i kształtu

## FILTRY Z WĘGLA PLASTYCZNEGO,

które u publiczności zyskały powszechnę przyjęcie, powtórnie w znacznym transporcie nadeszły; oraz ZELATYNA STEŻONA zastępująca klej rybi, do prędkiego klarowania piwa, wódki, wina i innych płynów, nadto:

## PROSZEK PERSKI ŚWIEŻY

i do niego bardzo praktyczne

## MIESZKI Z GUTAPERCHY

są do sprzedania w tymże Składzie głównym.

## Szwajcarskie oryginalne LIEBEROWSKIE ZIOŁA ZDROWIA

(Lieberische Gesundheits-Kräuter.) Znane od dawna z nader pomyslnych skutków przeciwko wyniszczeniu ciała, suchotom płucowym, kaszlowi, katarowi, bólowi piersi w różnych rodzajach, załęgmienu i t. p. dolegliwościom; działania których są pomocnemi każdej pleci i wiekowi, a kuracya ktorými w każdej porze, szczególnie letniej, miejsce mieć może, otrzymał obecnie świeże Skład rozmaitości Piotra Dąbrowskiego, przy ulicy Krakowskiej-Przedmieście Nr. 385 (46) i takowe w paczkach pół-funtowych opieczętowanymi wraz z przepisem użycia-jak przychodzi, sprzedaje. Osobom na prowincji i w Cesarstwie zamieszkałym, przesyłkę pocztą jak najakuratniej załatwia. Tamże jest do zbycia Gazeta Warszawska komplet z 20tu lat, to jest od 1 kwietnia 1840 roku do t. m 1860 roku, oraz dzieła dramatyczne Bogusławskiego i inne teatralne.

**Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych Warszawskich.**

W Drukarni J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa dnia 13 (25) sierpnia 1860 r.—Starszy cenzor, F. Sobieszczański.

Redakcyja przy ulicy Krakowskiej-Przedmieście Nr. 391 w domu PP. Wizytek